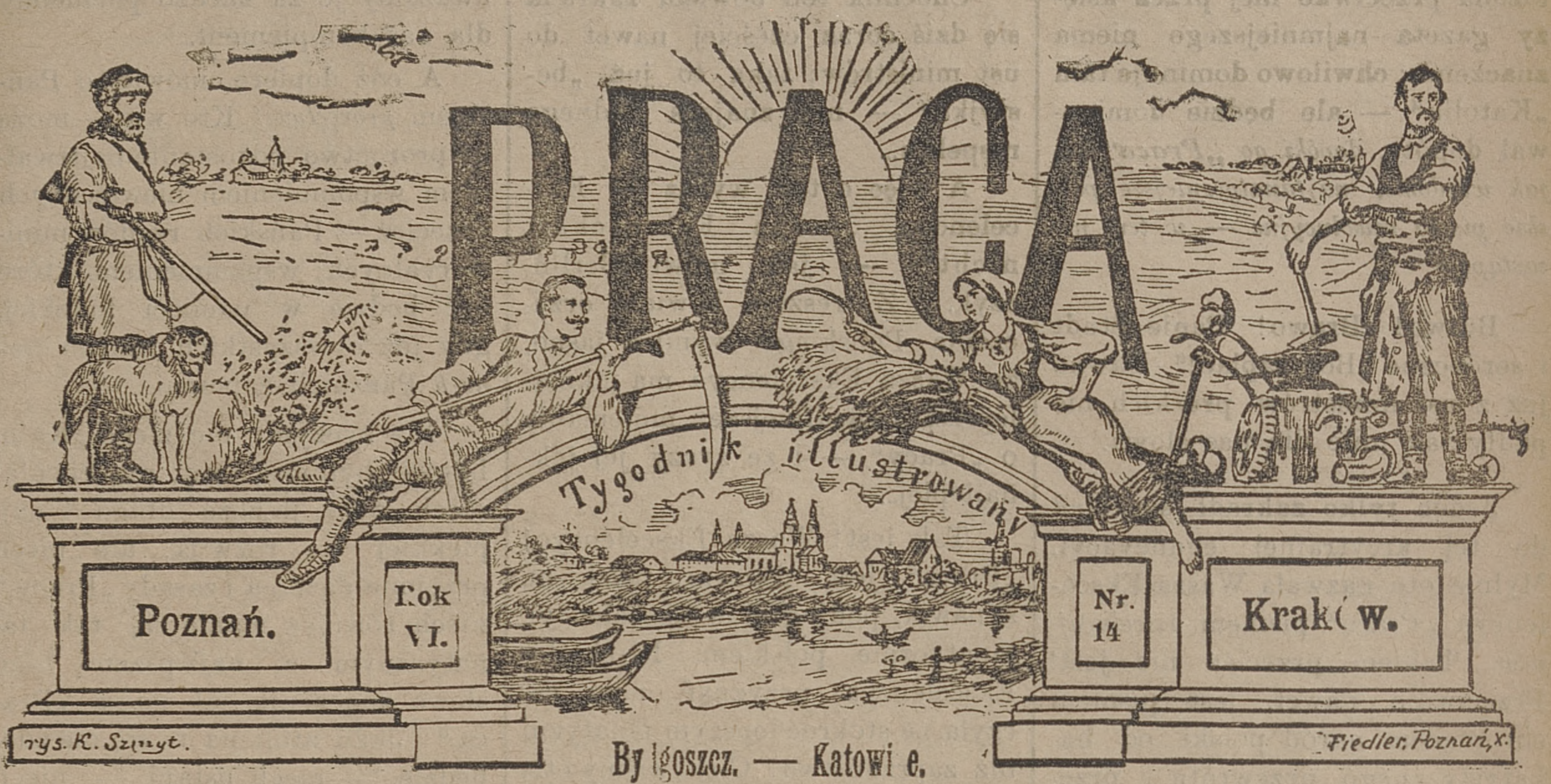
Niedziela, dnia 6-go Kwietnia 1902 roku.



By(d)goszcz. — Katowi(c)e.

Redakcya i Administracya: Poznań, ulica Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1246.

Od Redakcyi!

Serdecznie witamy starych Przyjaciół naszych w chwili rozpoczęcia się nowego ćwierćrocza, serdecznie witamy też nowoprzybyłych abonentów, jakby nowych Towarzyszów w coraz liczniejszej naszej gromadzie, dla której hasłem otwarta, szczera narodowa obrona, prawda uczuć, zgodność ich ze słowem i czynem, a dla której narodowym ideałem jest dobro całego polskiego ogółu.

Droga trudna, bardzo trudna, częstokroć przez kaźnie więzienne wiodąca, ale to droga dla nas jedyna, bo jedynie zgodna z czcią Ojczyzny i Narodu.

To przeświadczenie pozostaje niewzruszonem mimo ogromnych ofiar ponoszonych ustawicznie przez nasze wydawnictwo. Mimo strat i klęsk materyalnych, zadanych „Pracy“ kosztownemi procesami i wyrokami surowemi, stać będziemy wespół z Przyjaciołmi i Czytelnikami naszymi na starym posterunku zjednoczeni duchem i pałający jednem uczuciem, które się Ojczyźnie należy.

Witamy nowych Przyjaciół naszych jako druhów, którzy wspólnie z nami wyznają tę prawdę, że tylko „jednością silni“ być możemy; witamy Towarzyszów starych i nowych w „Pracy“, witamy u naszego zbiorowego ogniska, na którem płonie jak dawniej i płonąć ma zawsze znicz narodowego zapału; witamy ich z wdzięczną gościnnością a także z prośbą gorącą, ażeby w swoich kołach jednali nowych druhów — nowych przyjaciół.

Niechaj nowy kwartał będzie utrwaleniem starej spójni pomiędzy „Pracą“ a coraz liczniejszemi zastępami tych, dla których miłość i prawda są drogoskazem.

Witamy!

„Bóg zapłać“ — Panie Studt!

Ekscelencyo oświecenia! Jeżeli dziś „Praca“ zwraca się do Waszej Ekscelencyi z takiem podziękowaniem, to chyba musi mieć ważny do tego powód. Za drobnostki bowiem — wobec ciężkich ciosów, jakie bezustannie spadają na nas z twardej dłoni Pańskiej, dziękować niewarto. I rzeczywiście, powód taki mamy: są nim oto nie czasem czyny Waszej Ekscelencyi — lecz tylko słowa — ale słowa tak znamienne, tak miłe przytem dla ucha naszego, bo zawierające najświetniejszą dla „Pracy“ pochwałę — że rzeczywiście musimy mu być wdzięczni za nie i szczerze podziękować...

Co więcej zaś — nie zadowoliłeś się Pan pełnym uznania zwrotem, lecz nadto — uniesiony proroczym duchem — przepowiedziałeś Pan *świetne zwycięztwo* „Pracy“ — oraz jej idei przewodniej... To samo już warte podzięki. Ministrowie przecież bywają niekiedy *dobrymi* prorokami...

Radość nasza tak wielka, że uczuwamy potrzebę podzielenia się nią z Czytelnikami, z ogółem polskim. Prosimy więc posłuchać:

Na jednem z ostatnich posiedzeń sejmu pruskiego, na którem obradowano nad sprawą ludu śląskiego — raczyłeś Wasza Ekscelencya wypowiedzieć następujące pamiętne słowa:

„Wielkopolska agitacya“ tak już opanowała lud śląski, że założona przeciwko niej przez księży gazeta najmniejszego niema znaczenia; chwilowo dominuje tam „Katolik“ — ale będzie dominował dopóty, *dopóki go „Praca“ — jak wiadomo, najfanatyczniejsze polskie pismo rewolucyjne — w tem nie zastąpi!“*

Brawo! Brawo! Panie Studt i serdeczne „Bóg zapłać!“ Dawno już z ust ministrów pruskich nie padły tak miłe dla nas słowa.

Jeden tylko zakradł się błąd do tej arcytrafnej enuncyacyi. Mylnie oto nazwała Wasza Ekscelencya „Pracę“ pismem *rewolucyjnem.* Takiem przecież nie jest! Przeciwnie nawet, jest pismem chroniącem naród polski od hakatystycznego przewrotu i przewrotności i stanowczo *zwalczającem* rewolucyą, rewolucyą, jaką podniósł przeciwko woli i prawom Bożym *system pruski.* Pan Bóg stworzył nas Polakami, a tem samem już przykazał nam, abyśmy Polakami pozostali po wszystkie czasy. Pycha pruska zaś usiłuje poprawić to, co Bóg stworzył i na Niemców nas „przerobić.“ Dążności rewolucyjne są więc po stronie systemu wrogiego, dążącego do zrewoltowania naszego polskiego przyrodzenia, naszych polskich uczuć — a nie po stronie naszej, my bronimy tylko tego, co Pan Bóg ustanowił. A chyba i pan Studt — który piastuje także coś nakształt urzędu biskupa protestanckiego w Prusach — uznaje Pana Boga za najwyższego władzcę świata, za władzcę, którego wolę i przykazania chyba rząd pruski także respektować powinien? Nie bierzemy też zbyt tragicznie tej małej niedokładności. Może to tylko mały „lapsus linguae“ — jaki się i ministrom często wydarza. Kto wie, może pan Studt — wobec zbliżających się świąt Wielkanocnych chciał powiedzieć o „Pracy,“ że jest ot pismem *rezurekcyjnem* — *zmartwychpowstańczem* — a jeno złośliwy chochlik jaki, zapewne hakatystyczny, zamienił to w ustach pana ministra na *„rewolucyjne!“*

Chochlik ten bowiem zakrada się dziś coraz częściej nawet do ust ministrów; taka to już „bestyjka“ — nie znająca żadnego respektu...

A więc o ten wyraz — Ekscelencyo, „keine Feindschaft nicht“ — jak mówi Berlińczyk. Z reszty bowiem orzeczenia Pańskiego wynika jasno, że Wasza Ekscelencya ma jaknajlepsze, najtrafniejsze mniemanie o „Pracy“ — i że życzy jej jaknajlepiej...

Tak jest! Wasza Ekscelencyo! „Praca“ jest pismem polskiem, a nawet, podług słów Ekscelencyi, fanatycznie polskiem. Niechajby Ekscelencya przyznać nam raczyła, że stokroć lepszym fanatyzm niż zaprzaństwo! Ciekawiśmy oto, co byłoby się stało z Zakonem Chrystusowym, gdyby pierwsi chrześcianie na fanatyczne prześladowania pogan nie byli odpowiedzieli stałością w wierze, którą niektórzy mędrkowie dziś również *„fanatyczną“* zowią? I na nas uderza Niemczyzna, uosobiona w urzędowych i półurzędowych działaczach hakaty — z iście fanatyczną zaciekłością; więc „amen“ już byłoby z nami, gdybyśmy tej zaciekłości nie przeciwstawiali — *fanatycznej* wierności dla narodowości i polskiej naszej Ojczyzny.

Tak jest — Wasza Ekscelencyo! „Praca“ jest pismem „fanatycznie“ polskiem, bo dąży jedynie do tego, aby w każdem sercu polskiem rozgorzały: gorąca miłość do wszystkiego co polskie, oraz niewzruszona wiara w lepszą, swobodniejszą, szczęśliwszą przyszłość narodu polskiego!!

„Praca“ uprawia ot fanatyzm, ale w najszlachetniejszym rodzaju, fanatyzm, przed którym wszystkie narody schylić winny czoło, a który nawet Panu Bogu miłym jest, gdyż broni tylko tego, co On sam ustanowił.

Nie wątpimy też, że i Wasza Ekscelencya, jako członek rządu chrześciańskiego i cywilizowanego państwa — tylko w tym sensie użył owego wyrażenia. Ztąd też uważamy je za bardzo pochlebny dla nas komplement...

A cóż dopiero mówić o Pańskiem *proroctwie!* Kto wie — może to proroctwo pozostanie najtrwalszem wspomnieniem niewiecznych przecież — Pańskich rządów ministeryalnych; wspomnieniem, które żyć będzie w pamięci ludzkiej, gdy już o wszystkich innych *czynach* Pańskich zapomni...

Nie życzymy nic złego „Katolikowi“ bytomskiemu; przeciwnie: niech żyje jeszcze długo i najpiękniej się rozwija; ale niech przejmie dążenia i zasady „Pracy,“ niech również stanie się tak fanatycznym w najlepszem tego słowa znaczeniu, jak nasza „Praca.“ Jeżli atoli na to się nie zdobędzie, — niech ustąpi — niech spocznie na laurach przeszłości, niech je zabierze do *grobu.* Dla służalców centrowych i *pół-Polaków,* nie ma dziś u nas miejsca. Wtedy niech *„Praca“* zapanuje na Śląsku, a wraz z nią czysta, jasna, pełna siły i wiary idea polska.

Kto wie też, czy się proroctwo Waszej Ekscelencyi nie spełni rychlej, niż tam przypuszczają. Toż dziś już szerzy się panowanie „Pracy“ na Śląsku ogromnie, z niej nowy duch, nowe tchnienie spływa na te niwy piastowskie, spieczone długiem panowaniem Niemców. Im rychlej się spełni *zupełnie* proroctwo pańskie, panie Studt, tem lepiej, lepiej dla nas a może i dla was, bo oto zmniejszy to *wasze winy,* waszą *odpowiedzialność przed Bogiem i historyą,* za to, że się nam, wbrew prawom Bożym, krzywdy dzieją.

Tego, wywzajemniając się, życzy Waszej Ekscelencyi: *„fanatycznie polska „Praca!“*

Po zatem raz jeszcze „Bóg zapłać!“ — za uznanie i za to proroctwo, które oby... spełniło się *jaknajrychlej!*

W górę serca, Czytelnicy mili, w górę serca biedny ludu śląski. Snać lepsza przyszłość jest już

bliską, skoro nawet ministrowie pruscy wróżą

„*Pracy*“ *i jej posłannictwu!*

Vester.

Do ruiny!

Jesteśmy na przełomie. Na każdem polu narodowem i ekonomicznem walka twarda i ciężka wymaga od nas wysiłku, skupienia i poświęceń. Padniemy, gdy nam zabraknie rozumu politycznego i patryotycznego zapału.

Takiem jest położenie nasze wszędzie, nie tylko w zaborach rosyjskim i pruskim, lecz i tam, gdzie żywioł polski zażywa swobody i względnej niezawisłości — w Galicyi.

Niestety właśnie pod berłem Habsburgów, gdzie organizacyi obronnej, najświetniejsze sprzyjają warunki, krótkowidztwo i obojętność roztrwania i niweczy tak dużo sił materyalnych i moralnych narodu.

Jeżeli kiedykolwiek, to właśnie w ostatnich czasach zaznaczyła się dla nas wszystkich, bez różnicy przynależności państwowej, jasnemi literami ta prawda, że tylko przez zasadnicze i konsekwentne popieranie własnej wytwórczości i własnego handlu uchronić się możemy od zupełnego ekonomicznego upadku, zaniku sił materyalnych — od helotyzmu.

Pójdziemy w dziady, jeżli ta bijąca w oczy prawda nie rozjaśni nam dróg, jakiemi dążyć powinniśmy do ocalenia.

W kierowniczych sferach Galicyi widocznie bardzo słabem jest rozpoznanie, że obok oświaty tylko skupienie wewnętrzne sił ekonomicznych i rozumne bratnie popieranie podźwignąć tam może społeczeństwo z biedy i materyalnego upadku. Wszakże nędza w Galicyi oblicza się na krocie ludzi i rodzin przymierających z głodu; gdziekolwiek spojrzysz, zobaczysz zacofanie i niezliczone potrzeby ekonomiczne, z przyczyny braku nauki i materyalnych zasobów niezaspokojone; ludność galicyjska w swej ekonomicznej anemii liczy miliony analfabetów, miliony cierpiących chronicznie na głód duchowy, pogrążonych w ciemnocie, a łaknących światła wiedzy, pracy i chleba.

Taki stan rzeczy napomina surowo, ażeby przemysł i handel krajowy wziąć pod szczególną, trwałą i konsekwentną opiekę, choćby nawet z pewnym nakładem i poświęceniem materyalnych środków. Tymczasem aż strach tam przypatrzeć się bliżej zlekceważeniu najprostszych, najkardynalniejszych ekonomicznych postulatów.

W ostatnich dniach nadesłano nam z Krakowa w odbitce memoryał trzeźwo myślących i patryotycznym duchem przejętych obywateli, wystósowany do prezidium Wydziału Krajowego we Lwowie, a dający choć słabe wyobrażenie o krzywdach i stratach zadawanych Galicyi przez władze autonomiczne. Zważywszy, że wykaz przewinień w memorjale zawarty, jest tylko cząstką małą złego, co podkopuje do reszty byt naszych rodaków w zaborze austryackim, nie podobno stłumić w sobie oburzenia i wstrzymać się od potępienia występnej gospodarki.

Oto wyjątek z długiego rejestru grzechów:

W sprawach urządzeń dla gmin dzieje się tak:

Kraków. *Wodociągi:* na ekspertów powołano wyłącznie Niemców: Grahn, Hanower, Lueger, Stutgard, Hauffe, Boeck, Wiedeń. Dostawa sieci rur, hydrantów, zasów: Rumpel-Waldek. Dostawa maszyn, kotłów: Maerky Bromovsky-Schulz, Adamsthal.

Rzeźnia dla nierogacizny: Beck & Haenkel, Cassel.

Nowy projekt dla rzeźni: Apt, urzędnik budow. m. Berno. Wysełano zagranicę osobną komisyę w celu studyów, a rezultat ten, że projekt Niemcowi oddano. Jakiż cel miały podróże rzekomej specyalnej komisyi?

Pompy wodne dla straży miejskiej, dla magistratu: Garvens, Hanover.

Wózki do skrapiania ulic z Ulm.

Most żelazny na Rudawie: Zoeptau & Stefanau.

Teatr miejski: konstrukcye żelazne: Griedl, Wiedeń; oświetlenie: Krizik, Praga; ogrzewanie: Brückner, Wiedeń.

Tramwaj elektryczny: Schuckert-Werke.

Pomnik Mickiewicza odlano we Włoszech.

Katedra na Wawelu: konstrukcya żelazna nad skarbcem: End & Horn, Wiedeń; kopuła dla wieży: Erzherzogliche Industrial-Verwaltung.

Pomnik bisk. Oleśnickiego: Zumbusch, Wiedeń.

Witraże z Niemiec.

Lwów. *Wodociągi:* Kierownictwo budowy: Smreker, Mannheim; inżenier prowadzący: Flatten. Hydranty: Bopp & Reuter, Mannheim. Maszyny i kotły: Brand & Lhuillier, Berno.

Rzeźnia: Prager Maschin. Fabr. Act.-Gesellschaft vorm. Ruston.

Jako inżeniera, rzeczoznawcę, kierownika wodociągów, poleca budownictwo miejskie we Lwowie innym gminom jedynego Flattena, Niemca, który nawet według obowiązujących przepisów nie jest inżenierem (uczeń szkoły przemysłowej), tylko urzędnikiem firmy Smreker w Berlinie.

N. b. we Lwowie i w Krakowie dostawione niemieckie maszyny parowe nie dotrzymują zgoła gwarantowanego zużycia pary i węgla.

Jarosław. *Gazownia:* Manoschek z Wiednia, bez żadnej konkurencyi.

Rzeszów. *Gazownia:* Firma wiedeńska, bez konkurencyi.

Brody. *Gazownia:* Franke, Bremen.

Podgórze. *Chłodnia:* Ringhofer, Praga.

Żywiec. *Gazownia:* Manoschek, Wiedeń, bez konkurencyi.

Drohobycz. *Wodociągi i kanalizacye:* wezwany jedynie na po-

lecenie budownictwa lwowskiego Flatten z Berlina itd. itd.

W dalszym ciągu memoryał, ujęty w formę petycyi opiewa, iż takie oto krzyczące rozrzucanie funduszów kraju poza jego granicami dokonywa się wobec faktów, że 1) firmy zagraniczne niejednokrotnie zawodziły, 2) że fabryki krajowe w licznych wypadkach wykonywały zlecenia o wiele trudniejsze niż wyżej wspomniane, a taniej i lepiej niż obce fabryki, i nawet 3), że wiele znacznych urządzeń maszynowych nie tylko odpowiada doskonale swym przeznaczeniom, lecz nawet służy za wzór zagranicy.

Powyższe trzy fakty nadają fatalnej gospodarce tylko jeszcze jaskrawszego kolorytu. Widać, że w organach autonomicznych rządów Galicyi przy rozdawaniu robót z brakiem patryotycznego uczucia jednoczy się albo uprzedzenie do firm krajowych, świadczące o ciemnocie, albo też... coś innego — nazwijmy to delikatnie: podpadającą życzliwością i przystępnością dla firm zagranicznych, specyalnie niemieckich.....

I tak oto gospodarzą dostojne te organa w czasach, które już nietylko wśród Polaków samych, ale w całej nieledwie słowiańszczyźnie rozbudziły i pogłębiły myśl, ażeby na wszelkie sposoby zrywać węzły przemysłowo-handlowe z Niemcami; w czasach, gdy słowiańskie towarzystwo w Moskwie, proklamuje — jak świeżo donoszą — otwarty i bezwzględny bojkot wszelkich towarów niemieckich; gdy z zaboru pruskiego wyganiają poza słupy graniczne galicyjskiego robotnika, daremnie szukającego zarobkowej pracy w swym kraju rodzinnym; gdy w Poznańskiem i Prusiech Zachodnich podwiązano Polakom najgłówniejsze tętnice ekonomicznego życia, a pobudką dzisiajszej eksterminacyjnej walki jest wygłodzenie!

„Nowe Słowo Polskie“ przed niedawnym czasem rozgłosiło z niskich pobudek konkurencyjnych, że wydawnictwo „Słowa Polskiego“ powinno być wzbronionem, ponieważ na czele jego stoją Polacy zaboru rosyjskiego. Jakież to haniebne, gdy się zestawi z niezbitemi faktami, że Galicya przy każdej sposobności otwiera pole pracy i zarobku nie Polakom, ale Niemcom zagranicznym, a „Nowe Słowo Polskie“ zbywa to milczeniem!

W żadnym kraju przemysł nie powstał, nie wzmógł się i nie rozwinął, gdy w tymże kraju samym nie znalazł poparcia. I naturalne to! Siły rękodzielnicze i przemysłowe rozwinąć się mogą dopiero wtedy, gdy uprzedzenie organów rządowych nie obezwładnia przedsiębiorczości, ułatwia rozkwit rozumną protekcyą. Chociażby nawet droższym miał być początkowo fabrykat w kraju wykonany, to nawet wtedy zasada popierania fabryk krajowych powinna być rozstrzygającą. To nakładowy kapitał, który się poświęca do powszechnego ekonomicznego rozwoju narodu!

Taka zaś gospodarka, jaka się zaznacza w lakonicznych, a tak wiele mówiących zapiskach petycyi do prezidium wydziału krajowego nie jestże jakby urąganiem ubóstwu tego kraju i społeczeństwa, którego wytwórczość, ciemnotą i brakiem zasobów materyalnych spętana, nie zdoła nawet w przybliżeniu zadość uczynić wołaniom o pracę, o chleb powszedni i z którego widmo głodu wygania za morze corocznie tysiące — tysiące?!

Nie w paradnych i barwnych kontuszach i błyszczących karabelach, ale w rozumnej pracy dla podniesienia kraju niech okazują przedstawiciele rządów w Galicyi, że są Polakami!

Cóż nam po paradach, gdy wiodą *do ruiny?!*

Ordon.

Policzek za policzkiem...

Policzek za policzkiem wymierza nam sławetne Centrum, a my . . . po dawnemu kłaniamy mu się nisko i *„nie bierzemy tego zbyt tragicznie.“*

Kopnęło nas nogą przy wniesieniu interpelacyi w sprawie bezprawnego rozwiązania polskiego zebrania w Rybniku na Slązku — a codzienna prasa nasza — z wyjątkiem „Kuryera Pozn.“ — ani nie sarknęła na to. A przecież było to kopnięcie tak bezczelne, jak podobnego . . . . . dawno już nie doznaliśmy. Powiedziano ot posłom naszym, gdy również pragnęli ująć się za ludem polskim: „precz z wami — do Księstwa z wami, *my* tylko mamy prawo reprezentować Ślązk Górny, a będziemy go reprezentować tylko po . . . . centrowemu, przenigdy zaś po polsku. Precz ze Slązka — my tu panami, my panami polskiego ludu ślązkiego...“

Tak oto powiedziano Kołu polskiemu — a Koło schowało do kieszeni tę odprawę, a raczej obelgę i jeno biadać zaczęło, że teraz dla braku poparcia centrowego nie będzie się mogło ująć za rodakami w Westfalii i nad Renem, którym codziennie niemal wyrządza się takie same krzywdy, jak ona w Rybniku.

Potem zaś powstał w Izbie panów brat apostaty, ks. *Hoensbroech* — napadł z furyą na tych biednych braci naszych, tuczących potem swoim panów niemieckich — i w dodatku rzucił obelgę w twarz *duchowieństwu polskiemu,* temu duchowieństwu, które w poświęceniu i w spełnianiu obowiązków swoich nie ma równego sobie w całem Chrześciaństwie... A z prasy centrowej jedna tylko „Koeln. Volksztg.“ zlękła się tej obelgi i lekko ją skarciła, podczas gdy wszystkie inne pisma centrowe aprobowały ją milczeniem lub nawet przyznały, „że zawiera dużo słuszności...“

Prasa centrowa stanęła tedy w tym wypadku zupełnie na stanowisku — prasy hakatystycznej, która z radością przyklasnęła wywodom brata apostaty i nazwała je jedynie trafnem uzupełnieniem mowy kanclerza Bülowa... Cóż zaś na to prasa *polska?*

Jedynie „Kuryer Poznański" uderzył z powodu tego na alarm i napiętnował, jak się należy, niegodziwość dumnego rycerza centrowego. Napisał, że otworzy ona oczy społeczeństwu polskiemu na to, co warta przyjaźń centrowa.

Oby się tak stało! Niestety na razie nic nie zapowiada tego. Kilka tylko prowincyonalnych organów sekundowało „Kuryerowi" — ogół natomiast jakoby nie pojmował znaczenia tego nowego antipolskiego wybryku centrowego, tego nowego policzka.

Zimno, niemal obojętnie zbył go „najpoważniejszy z poważniejszych" — według własnego mniemania — „*Dziennik Pozn.*", zapewniając, że wystąpienie ks. Hoensbroecha *„nie bierze zbyt tragicznie"*. To już szczyt obojętności, a raczej szczyt gruboskórności i niewolniczej uległości dla Centrum...

Nie należy więc „brać tragicznie" — gdy poseł centrowy z trybuny parlamentarnej oskarża polskie duchowieństwo, to duchowieństwo, któremu tyle zawdzięczamy, o „popieranie zdradzieckich aspiracyi i agitacyi", o „postępowanie *niekatolickie*" — gdy odsądza je od pasterzowania ludowi polskiemu na obczyźnie...

Zrozumieli straszną doniosłość wystąpienia tego ministrowie pruscy, bo w lot przyklasnęli mówcy, zrozumiała ją prasa hakatystyczna, bo podniosła dziki wrzask tryumfu; — jedynie „poważne" nasze organa i „poważne" koła *nie biorą tego tragicznie*"... Czyżby tak już przywykły do policzków — że jednego więcej wcale nie odczuwają?

Groza utraty zarobku zawisła dziś nad braćmi na dalekim zachodzie; w sejmie oświadcza z cyniczną niemal otwartością pruski minister Moeller: „dbamy o nich tylko tak długo, póki ich potrzebujemy" — dygnitarz centrowy miota na nich oszczerstwa i odmawia należytej opieki duchownej, my zaś.... *„nie bierzemy tego zbyt tragicznie"*...

I takie organa, pozbawione wszelkiego poczucia godności narodowej i zrozumienia ważności chwili, pragną nadawać ton w społeczeństwie naszem!

W innych społeczeństwach byłoby to wręcz niemożliwem.

Czyż nam los wychodźców naszych w Westfalii i nad Renem zupełnie jest obojętnym? Słyszymy przecież codziennie, że wydalają ich ztamtąd coraz liczniej, że odgrażają się im zupełnem wyparciem z zachodu. Cóż się zaś u nas czyni na taki wypadek? Czyż ruszył już kto palcem, aby zająć się tymi braćmi, ułatwić im powrót do kraju, wskazać im tu, o ile to możliwe, pracę i zarobek? Czyż wróciwszy, mają się czuć obcymi między swymi, czyż mają zmarnieć na własnej ziemi? Nie zasługują chyba na to ci, którzy na obczyźnie w trudnych warunkach dzierżyli wysoko sztandar narodowy i bynajmniej tam wstydu nie sprawiali społeczeństwu naszemu!...

A czyż ruszono palcem, aby godnie odeprzeć nowe te policzki centrowe? Także nie! A przecież czas najwyższy pokazać tym niemieckim pseudo-katolikom, tym fałszywym przyjaciołom, że i my mamy krew w żyłach i bronić się umiemy. Gdyby na naszem miejscu byli *Czesi*, jużby u nas wrzało jak w kotle, już by odbywały się liczne zebrania protestujące, jużby tworzyła się organizacya, mająca dać na ten policzek jedynie godną odpowiedź: *odzyskać Śląsk polski ze szponów centrowych — i zorganizować jako jedną całość cały lud polski od Pucka do Mysłowic.*

To byłby jedynie godny, jedynie odpowiedni odmach na te uroszczenia fałszywych sprzymierzeńców. A musimy tak postąpić, musimy się bronić w ten sposób, inaczej sami na najcięższe narazimy się straty.

Braknie rzeczywiście u nas Cicerona, któryby zbyt gnuśnemu społeczeństwu codziennie powtarzał: „*Quousque tandem*" — jak długo jeszcze znosić będziecie te upokorzenia i policzki, jak długo jeszcze bezczynnością podkopywać lepszą przyszłość?

Opatrzność przestrzega nas codziennie, lecz my przestróg jej nie słuchamy.

Quousque tandem?

Verus.

Unser Vaterland...

Dotąd myśleliśmy zawsze, że Ojczyzną naszą — to Polska, dotąd wszędzie to imię naszej Ojczyzny przez życie nas wiodło, dotąd walczyliśmy z przeciwnościami pod jej sztandarem, dotąd za miłość do polskiej naszej Ojczyzny cierpieliśmy tak wiele — a oto nagle okazuje się, że wszystkie te cierpienia i bóle nic nie warte, gdyż co do Ojczyzny swej pomyliliśmy się zupełnie. Wyjaśnił nam to wreszcie pan nauczyciel z Kozichgłów pod Poznaniem.

„Unser Vaterland ist Deutschland" kazał dzieciom polskim pisać ów profesor z Kozichgłów. Dzieciarnia częściowo napisała, niektóre zaś dzieci napisały: *„Unser Vaterland ist Polen"*. Za to odebrało każde po kilka „łap".

Jeżeli panu profesorowi z Kozichgłów chodziło o ćwiczenia *kaligraficzne*, czemuż nie wybrał innych wyrazów, których są tysiące, czemuż właśnie zestawił cztery takie wyrazy — jak niżej pokażemy — *drażliwe?*

Jeżeli panu profesorowi z Kozichgłów chodziło o podyktowanie pewnej *myśli*, czemuż nie wybrał innej, jak n. p. „Der Tisch hat vier Beine", albo „Die Katze hat vier Beine", albo „Der Esel hat zwei lange Ohren!" Toć to byłoby *prawdą i nie obrażałoby* nikogo.

Ale pan profesor z Kozichgłów dyktował *nieprawdę*. A czyni to chyba nie jako nauczyciel, bo zadaniem nauczyciela nie są czynności takie, lecz jako polityk. Czemuż bowiem i on nie ma politykować, choćby i na skórze dzieci sobie podwładnych? Uprawiają przecież politykę wszędzie, czemuż by więc i profesor z Kozichgłów nie miał przejechać się na tym koniku?

W imię tej polityki zatem pan profesor głosi *nieprawdę*.....

Że zdanie, które dyktował dzieciom polskim, jest czemś, co się z ich istotą polską nie zgadza, nad tem nie będziemy się zastanawiali, ani wykładali profesorowi ani jego adlatusom. To wykładają dzieje i wieki. Gdyby ów pan *niemieckim* dzieciom był podyktował: „Mein Vaterland ist Kiautschau", omyliłby się jeszcze mniej.

Dalej chyba każdego czującego Polaka, chyba każde dziecko polskie, słowa

takie przez niemieckiego nauczyciela gwałtem w usta wciskane, niechybnie do żywego dotykać muszą.

Jeżeli niektóre dzieci napisały wbrew woli nauczyciela: „Unser Vaterland ist Polen“ — uczynił to ich instynkt, to był głos natury. Zresztą religia i narodowość, a więc i Ojczyzna — to dwa pojęcia dla duszy ludzkiej tak elementarne, że żyją już i w dzieciach najdrobniejszych. To powinien wiedzieć pan profesor z Kozichgłów. I to powinni wiedzieć wogóle wszyscy panowie profesorowie niemieccy.

Wara wam od narodowości i ojczyzny naszej, bo tutaj *dusza* zaprotestuje, porówno dusza dziecka i starca! Powiadamy: *dusza*. Panowie Rheinbaben, Gossler, Studt, Hammerstein i Sattler, krzyknęliby według swego frazesu: „Nie! To *agitacya* wielkopolska!“

Zapewne. Może w istocie w owej godzinie pod ławami w szkole koziegłowskiej siedzieli polscy agitatorzy i oni to szczypaniem w nogi spowodowali, iż dzieci napisały inaczej. Rety, rety! Trzebaby wówczas wydać rozporządzenie, by we wszystkich szkołach przed każdą godziną kilku policyantów rewidowało wszelkie szczeliny, aby nie zakradł się czasem jaki „agitator wielkopolski“, co szczypie pod ławami...

Co dzieje się w szkole w Kozichgłowach, jest to mały, ale barwny obrazek, jest to ucieleśnienie tej idei, której dzisiaj z wściekłą namiętnością palą hekatomby, — jednem słowem: germanizacyi. Tam nauczyciel, a tu na szerokiej arenie system pruski jako taki dyktuje nam i chce, byśmy pisali: „Unser Vaterland ist Deutschland.“ Lecz tak nikt z nas nie napisze, chybaby zechciał zbrukać honor swój narodowy i zyskać z naszej strony, ze strony narodu — zaprzańca, łotra zasłużone miano.

Nigdy, przenigdy nie skalamy rachunku życia swego posłusznem wypisaniem powyższego dyktanda wrogów naszych.

My tego nie napiszemy!

A *dzieci* nasze? — I dzieci nasze *nie*. Bo na straży ducha i serca dzieci naszych *my* stoimy, my matki, my ojcowie, my siostry i bracia. Przez wiekowe piekło, mąk i bólów przeszedł duch narodowy, przeszła idea nasza ojczysta, nietknięta i cała. Nie zwichną jej też chyba ni śmieszne dyktanda, ni „łapy“ nauczycieli pruskich.

Wy, szkoła pruska i nauczyciele pruscy, przemawiacie do dzieci naszych twardym i suchym głosem jakiejś racyi stanu lub świstem trzcinki. A w naszym głosie dzieci nasze słyszą serce i miłość; nas zatem zrozumieją i usłuchają ich serca, *my* zwyciężymy.

Smutne to ogromnie, ale niemniej prawdziwe, że dziś już prawie niema nauczycieli, dla którychby dzieci nasze jakieś wyższe uczucie, uczucie przywiązania miały. Strach zaś sam nie nauczy nigdy tego, czego tylko miłość, tylko serce nauczyć może.

Pragniemy pracować, walczyć i zwyciężać; a na tym sztandarze promienieje hasło jasnemi literami, których nie przyćmi nawet najpierwszy profesor, największy filozof lub polityk z Kozichgłów — „miłość Ojczyzny polskiej, miłość i poświęcenie dla polskiego narodu!“

Narodowiec.

Z życia wolnego obywatela
w wolnem państwie pruskiem.

Dzień, w którym przyszedłem na świat jako pierworodny syn włościanina Kmiecia, był dla naszego rodzinnego gniazda dniem prawdziwego wesela; ojciec w radości swej nie baczył nawet na tę przykrość, że półtorej mili biedz musiał do urzędu stanu cywilnego, ażeby uczynić zadość wymaganiom prawnym i oznajmić tam moje urodzenie. Dawniej byłoby wystarczyło donieść o tem proboszczowi naszego wiejskiego kościoła — dziś inaczej!

Pan urzędnik surowego typu, kazał nasamprzód czekać ojcu całą godzinę, a następnie powstał na niego za to, że się ośmielił tak późno go fatygować; nakoniec zabrał się do ważnej swej funkcyi:

„Nazwiska Kmieć tak pisać nie można jak tam sylabizujecie! — rzekł po niemiecku — piszę „Kmietsch i basta!“ — A nowonarodzonemu jak? Hę? Co? Bronisław?? Od takiego imienia zmarnieć może 6 niemieckich języków i 4 angielskie pióra! Rzymsko-polska głupota! Po niemiecku brzmi to Bruno i tak się też wpisze!“

Na kilka uwag mojego ojca ów miły pan popadł w furyą i podług wszelkich form wyrzucił go za drzwi, grożąc w dodatku, że gdyby raz jeszcze dopuścić się miał podobnych nieprawidłości, natenczas wytoczy mu proces o zakłócenie spokoju domowego.

Proboszcz nasz, nie mogąc pojąć, dlaczego to miałoby być lepiej i dogodniej przysparzać nazwisku trzy — litery i to w dodatku trzy spółgłoski, zapisał mię do urzędowych ksiąg kościelnych podług życzenia ojca uznawszy pisownią „Kmieć“ za prawidłową. Ta niezgodność w brzmieniu i pisowni spowodowała w późniejszem życiu mojem niejedną przykrość i rozterkę.

Pierwsze lata życia aż do roku siódmego, w którym się rozpoczęła nauka szkólna, były mi jakby sielanką słodką, osobliwie, gdy je się porówna z tem, co nastąpić miało. W tym wieku dzieciństwa opowieści starszych (rodziców) sprawiają na umyśle dziecięcym niezatarte wrażenia, a w pierwszych latach młodości mojej opowiadano właśnie dużo, i to nawet o zupełnie świeżych wypadkach. Ojciec mój bieżącemi sprawami żywo się interesujący, często na prośby moje raczył mnie ciekawemi opowieściami.

W owym czasie wszechpotężny Bismark, stósownie do swej woli, zachmurzał i wypogadzał horyzont polityczny. Strzeliła mu też do głowy idea, ażeby zaopiekować się zbawieniem katolików, ile możności przerobić ich na dobrych protestantów, a za jednym zamachem przerobić Polaków na dobrych Niemców. — Były to wówczas osobliwe u nas stosunki! Rabusie mieli niezakłócony przywilej porywać ludziom po prostu z przed nosa ich własność i krzyknąć jeszcze ile możności „ślicznie dziękujemy“.

A zkądże to? zapyta niejeden może. Oto z tej prostej przyczyny, że żandarmi i inni stróże prawa, mieli o wiele ważniejsze sprawy do załatwienia, niźli tropienie złoczyńców. Musieli formalnie w oddziały się szeregować, ażeby wespół z wielu innymi amatorami urządzać wielkie naganki na znienawidzoną, groźną dla państwa „czarną zwierzynę“... A zwierzyną tą byli księża biedni, wygłodzeni, ustawicznie ścigani, a poświęcający siły swoje stargane na to, ażeby w osieroconych parafiach, których były setki całe, konającym nieść pocieszenie, a żywych krzepić sakramentami świętymi. W odległych, ustronnych chatkach wieśniaczych zbierały się wśród nocy gromadki wiernych wyznawców wiary św. Częstokroć już osaczeni uchodzili z zdradliwych i podstępnych zasadzek; miłość bliźnich była im ochroną! Wrogowie zaś, którzy najczęściej wystawili się sami na pośmiewisko, pozostaną dla młodszych pokoleń długo jeszcze przedmiotem najzabawniejszych anegdotek. Atoli nie wszystko wtedy było krotochwilą! Niejedna wówczas potajemnie rozegrała się scena, od której włosy na głowie stawały i rozdzierały się serca, a o których milczy historya.

Po upływie owych wspaniałych lat sześciu przypięto mi na grzbiet tęgo naładowany tornister szkólny i rozpoczęły się ciężkie dla mnie czasy. W przeciwieństwie do wolnego powietrza na bożym świecie, zaduch brzydki, ciasnota duszna w klasie i brak ruchu, oprzykrzały mi podwójnie ów raj

szkólny; nauczyciel wszakże oświadczył nam i rodzicom naszym w tonie zupełnie na seryo i z zupełnem przeświadczeniem, że w tym uświęconym przybytku spłynie na nas ta nieskończenie wielka łaska, że będziemy wychowani na *„wolnych obywateli wolnego państwa pruskiego“*. Co to miało znaczyć, nierozumiałem naturalnie jeszcze, wyobrażałem sobie mniej więcej tak, że niebawem wolno mi będzie przy obiedzie nie jeść jakiej zupy, niezgodnej z moim smakiem, zabijać kury żandarmowi, wyrządzające szkodę w naszym ogrodzie i t. p. — Nastąpiło wpisywanie nazwisk nowych uczniów szkólnych; po gwałtownej scenie dostałem się znów do rejestru jako „Bruno Kmietsch“ zamiast „Bronisław Kmieć“ a rodzicom moim dostała się pogróżka, że za fałszowanie dokumentów pozwani będą przed sąd! Przeszło 200 gawiedzi wtłoczono wreszcie w dwie ciasne izby pod władzę dwóch nauczycieli. Jeden z nich był protestantem, ponieważ wśród nas było 6 czy też 7 dzieci luterskiego wyznania; codziennie przed rozpoczęciem i na zakończenie nauki szkólnej kazał on nam odmawiać protestancką modlitwę szkólną, z której początkowo ani słowa i nawet później mało tylko rozumieliśmy.

Nakoniec w oddziałach wyższych rozpoczęła się prawdziwa dresura, co wszystkim goryczą zaprawiła życie, niejednemu może oprzykrzyła je na zawsze. Obaj nauczyciele byli narodowości niemieckiej; przez cały boży dzień powtarzało się niemieckie zgłoski (sylaby), wyrazy i zdania głośno albo raczej krzykliwie; po polsku nawet podczas pauzy rozmawiać nie było wolno; a że co chwila zachodziły arcykomiczne pomyłki, więc sypały się szczodrze chłosty i inne kary. Zdania jak: „Polak jest głupi“, „Polak jest leniwy“, „rozbiór Polski był dobrodziejstwem dla jej ludności“ i t. p. wymuszano z nas oczywiście tylko przy pomocy kar. Ztąd też twarz moja, ręce i plecy świeciły wszelkiemi barwami tęczy od ciemno-niebieskiej począwszy aż do jasno żółtej i zielonej. Matka i ojciec biadali nademną — a w ich wnętrzu kipiało od gniewu. Gdy zaś z nieuwagi zwykłe pochwalenie Pana Boga stósownie do rozkazu nauczyciela zamieniłem na niemieckie „Galopp sei Jesus Christus“. albo gdy wieczorem kury w kurniku liczyłem po niemiecku, lub też w końcu, gdy odmawiając pacierz do wyrazów polskich mieszałem niemieckie, wtedy moja biedna matka nie posiadała się z gniewu i — zieleniejące naturalnie już nieco pręgi od chłost w szkole otrzymanych na grzbiecie na nowo się zabłękiciły. Tak oto tam baty i tu baty — dla utrzymania równowagi!... „Niieznośny chłopaku!“ wołała matka często — „słyszałeśże ty kiedy, iżby psy gdakały, konie szczekały, kury miauczały lub krowy beczały? A czyż Pan Bóg nie będzie cię musiał skarać, gdy obcym językiem do niego się odezwiesz? Na cóżże ci dał twą własną mowę?!

Tak, prawda, poczciwa matka miała słuszność! Dziś sam widzę, iż wówczas — tak jak po dziś dzień nasze dzieci — wychowano i nas na umysłowe i moralne kaleki!

Bo jakże było z nami po 8 latach mozolnej roboty, jak się miała sprawa z innemi przedmiotami, poza niemczyzną, której prawie że nic nie umieliśmy? Eh, przemilczmy lepiej... Nareszcie, — nareszcie pozbyliśmy się szczęśliwie nauki szkólnej! Następne sześciolecie, — ów czas, w którym chłopiec na młodzieńca wyrasta — możnaby zaliczyć do najswobodniejszych mego życia, gdyby nowe wypadki, jak uderzenia obuchem nie oddziałały na mnie i na moich najbliższych. Wuja i chrzestnego mego a jednocześnie sąsiada, który tu odbył swą służbę wojskową, walczył we Francyi i na polu bitwy ciężką odniósł ranę, wydalono nagle z granic państwa wraz z żoną i dziećmi. Nie pomogły żadne prośby, żadne przedstawienia. A że do przygotowań koniecznych bardzo mało pozostawiono mu czasu, więc był zmuszony gospodarstwo swoje, inwentarz i dobytek cały za bezcen sprzedać i co prędzej szukać przytułku w Galicyi, zkąd ojciec jego mniej więcej 30 lat wcześniej przeniósł się do Prus i tu jako robotnik wiejski służył długie lata wiernie i pilnie swoim chlebodawcom. Biedacy podzielali los z 40,000 towarzyszami niedoli, którym dla ocalenia niemieckiego państwa, strasznie zagrożonego uciekać kazano przed gniewem Bismarka z niegościnnej krainy, — bez względu na kobiety wątłe, na dzieci drobne, ba, nawet na śmiertelnie chore położnice... Inna znów krewna, służąca w zamku u pewnego państwa jako mamka, otrzymała jednocześnie nakaz banicyjny, zaadresowany w słowach: „An die polnische Ueberläuferin!! Katarina Olek“ i t. d. (Do zbiegłej z Polski itd.) Po wielkich trudach, długich zabiegach i staraniach u komisarza, landrata i naczelnego prezesa udało się pani chlebodawczyni przedłużyć jej pobyt we wsi o kilka miesięcy, aż do odsadzenia niemowlęcia.

Czyliż można się dziwić, że takie oto surowe, z boskiemi przykazaniami i zasadami ludzkości sprzeczne a dla naszego prostaczego, chłopskiego rozumu zgoła niepojęte rozporządzenia nie wzmacniają uczucia przywiązania do państwa?...

Tymczasem zbliżył się rok dwudziesty; aż do tej chwili przypominały mi „wolność“ moją tylko owe udręczenia, wynikające z roboczej ustawy o lepiznaczkach, znanego pod nazwą „Klebegesetz“ prawa zabezpieczenia na starość i niedołęstwo; teraz zaś nadeszła uroczysta chwila, w której kapral korzystać miał z swej władzy, ...

. . . .

Gdy mnie nakoniec wyćwiczono na mężnego i gorliwego obrońcę niemieckiej ojczyzny, powróciłem do swej wioski rodzinnej, ożeniłem się i począłem pracować na ojczystym zagonie. Serce wtedy żywszem zabiło mi tętnem na myśl, że dotąd uważać się mogę za „wolnego obywatela wolnego państwa“ i używać tej swobody w całej pełni! Istotnie też wkrótce nadarzyła się sposobność do korzystania z tej wolności obywatelskiej. — Było to w uroczystość poświęcenia kościoła. Ks. biskup zawitać miał w okolicę naszą, umyśliliśmy przeto na cześć jego urządzić kalwakadę. „Uczczenie księcia kościoła państwu tylko pożytek przynieść, a chyba nigdy szkodzić nie może; zresztą zawsze to u nas było w zwyczaju!“ — tak oto rozumując podług własnej myśli, osiodłaliśmy żwawo najlepsze konie, wdzialiśmy sukmany świąteczne, przepasaliśmy ramiona czerwonemi wstęgami i dalejże czwałem ku chwale Boga i radości ludzi! Lecz cóż? Nie podobało się to hakatystom, nie trwało długo a staliśmy za kratkami sądowemi obwinieni o „grubą swawolę“. „Trzeba przykładnie ukarać te polskie łby bydlęce (polnische Ochsenköpfe)“ tak brzmiało z wszystkich stron, a my byliśmy radzi, gdy nam się powiodło wybrnąć ze sprawy otrzymawszy kary pieniężne po 15 marek; niektórym z pośród nas dołożono jeszcze 3 dniową kaźnią za to, że lękając się sprawie swej zaszkodzić nieznajomością języka niemieckiego wzbraniali się zeznawać po niemiecku do protokułu.

A jakże z wolnością, z tą wolnością?... Ha, chyba nam było wolno więcej jeszcze zapłacić i dłużej posiedzieć w kozie?.., Tak to, tak! do niektórych rozkoszy trzeba się dopiero przyzwyczaić i podobnie ma się sprawa z wolnością tak zachwalaną!...

Nie trwało długo, a już zbyt wiele miałem sposobności przekonać się, że władze uważają nas za coś niżej szacunku i że odpowiednio też nas traktują. Na to choć jeden z przykładów, których przytoczyćby można setki. Słysząc i czytając dużo o dobrodziejstwach, spływających na ludność z kas pożyczkowych, poruszyliśmy i wśród siebie myśl założenia takiej spółki. Zgodzili się na nią wszyscy, a ks. proboszcz

nasz naznaczył dzień, kiedy w najbliższem miasteczku większe zgromadzenie ludzi z naszej i sąsiednich wsi właściwe kroki przygotowawcze uchwalić miało. Tymczasem w chwili, gdyśmy już byli zebrani a ks. proboszcz właśnie chciał zabrać głos, pan komisarz policyjny oznajmił nagle, iż sala słaba zapaść się może i dlatego zgromadzenia zabronić musi; kilka dni później wszakże w tejże sali odbyło się posiedzenie stowarzyszenia wojackiego (Kriegerverein) zupełnie spokojnie i bez przeszkód, a sala się nie zapadła ani wtedy, ani też do tej pory! Krótko potem nie lepiej nam się powiodło w innym lokalu: pod pozorem, iż urzędnik policyjny nie rozumie mowy polskiej znów rozwiązano nam zebranie.

Wracając do domu, dowiedziałem się od pewnego znajomego z wsi pobliskiej, że dotychczasowy właściciel tejże sprzedał ją komisyi kolonizacyjnej. „A to pysznie się składa“ — pomyślałem sobie — „w domu właśnie pończocha pełna talarów, którą teść nieboszczyk chował długo w łóżku pod posłaniem a teraz nam w spadku zapisał. Toż spuścizna doskonale się teraz przyda! Ojciec mój, choć stary, przecież jeszcze rześki, o własnych więc siłach gospodarstwo opędzić może, a cieszyć się będzie, gdy zobaczy, żem sam sobie kupił kawał roli!“ Bo cóż szczytniejszego dla dobrego rolnika, nad to, że zagon swoim własnym nazwać może! Ojciec mój pod Królowy-dworem (Königgrätz) stał się od kuli kaleką, młodszy mój brat był teraz w Chinach, mnie także nikt nic złego zarzucić nie może, wierzyłem przeto, że niechybię celu i znajdę na pewno uwzględnienie, gdy zaniosę prośbę o odstąpienie kilku mórg ziemi za rzetelne pieniądze, tym bardziej, że owe 200 milionów do wykupywania ziemi ściągane bywają od *wszystkich bez wyjątku* podatkujących. Wydawało mi się wprost niedorzecznem przypuszczenie, iżbym nie miał do tego prawa.

Najbliższego dnia targowego wywiedziałem się w miasteczku, że Poznań jest siedzibą komisyi kolonizacyjnej, ale jednocześnie zachwiałem się w nadziejach swoich, gdym słyszał ludzi twierdzących na pewno, że polscy chłopi do kolonizacyi nie bywają dopuszczani. Dla pewności napisałem pokorne podanie do właściwej zwierzchności, nie pomijając ani jednego słusznego uzasadnienia. Po upływie tygodnia listowy przyniósł mi list, sięgnąłem gorączkowo, domyślając się, iż to odpowiedź na mą prośbę; ale zanim zdążyłem się przyjrzeć pismu, już mię posłaniec pocztowy objaśnił, że to mój własny list, zwrócony jako „niedoręczalny“, ponieważ poczta już nie rozumie polskich adresów... „O święta wolności!“ zawołałem — co prawda w trochę silniejszych wyrazach — „żadna dla ciebie ofiara nie jest za wielką!“... I szybko pospieszyłem do pokątnego pisarza, ażeby mi pismo i adres przetłomaczył, zaniosłem je na pocztę i nie traciłem nadziei... Gdy znów minęły trzy tygodnie, otrzymałem krótko i zwięźle brzmiącą odpowiedź, że przecież jest „notorycznem“, iż komisya kolonizacyjna, podług tych lub owych paragrafów, Polaków jako nabywców nie przyjmuje!... Otóż miałem, czegom chciał! Dowiedziałem się na pewno, że wolność i równość w obliczu prawa nie jest w Prusiech czczem urojeniem; tak, byłem „wolny“ — wolny od ułud wszelkich!!

Rozpoznanie to jeszcze wyraźniejszem się stało, gdy prawie w tym samym czasie pewien biedny kuzyn mój na prośbę o przyjęcie do służby w charakterze listowego wiejskiego, a jeden ze znajomych rodaków na prośbę o stypendyum dla syna swego, ucznia szkoły rzemieślniczej, otrzymali odmowną odprawę.

Na zakończenie opowiem jeszcze jeden szczegół piękny a prawdziwy. Zmarł sołtys we wsi naszej. Na ojca mego, że był znany jako prawy i dzielny gospodarz, a szczególnie, że go porówno młodzi jak starzy lubili, padł wybór jako na następcę po zmarłym; cóż, kiedy odmówiono zatwierdzenia nawet po dwukrotnym następnie jednogłośnym wyborze, a natomiast mianowano sołtysem jednego z trzech we wsi osiadłych Niemców, naturalnie protestanta. Gdy zaś wyborcy usiłowali zbadać powód odmowy, wykazało się, iż ojca mego los mściwy spotkał za to, że podczas ostatnich wyborów do sejmu oddał głos swój na polskiego kandydata.

Niechże mi kto teraz wytłomaczy co mają znaczyć wygłaszane donośnie przez komisarza wyborczego słowa: „Jako wolni obywatele wybierajcie z całkowitą swobodą podług sumienia waszego!“ Jakże pogodzić wezwanie takie z faktem, że wybór dokonany przez ojca mojego podług własnego sumienia, tak ciężko był pomszczony?!

Zapewne nigdy nie nadużywano wyrazu żadnego tak jak wyrazu „wolność!“

...Czasy coraz bardziej ponure... codziennie czytam o ustawicznie wzmagającem się bojkotowaniu polskich lekarzy, kupców i fabrykantów, a nietylko ze strony niemieckich współobywateli, lecz nawet wprost ze strony władz! Więc ani chleba dla nas Polaków! A może wkrótce ani powietrza, ani światła! Żadnego prawa — prócz praw wyjątkowych!...

Czyż nie ponosimy ofiar, codzień dobrowolnie nakładanych, ofiar z pieniędzy, krwi naszej i życia czerpanych? A czy nie jesteśmy „*wolnymi obywatelami wolnego państwa pruskiego.*“

O, Panie Boże nasz! Jeśli nasza dola tak bardzo smutną i pożałowania godną, to jakąż będzie niezadługo dola dzieci naszych? Oto pytanie, które my, ojcowie rodzin, w niepokoju sobie zadajemy, a zatrwożeni o ich przyszłość, trawieni gorącem pragnieniem, ażeby biedne dziatki nasze były mniej, niż my nieszczęśliwemi — to jedno tylko życzenie z głębi serca wynurzyć możemy: „Oby one nie były *zbyt* wolnymi obywatelami tego wolnego państwa, w którem wyraz „wolność“ nietylko pustym dźwiękiem się wydaje, lecz zaiste ironią gorzką!

M. S.

Z TYGODNIA.

Ciszy wielkanocnego tygodnia nie przerwał i niezakłócił w tym roku żaden krwawy lub wogóle groźniejszy wypadek; przeciwnie nawet, ztamtąd, gdzie w trzyletniej nieubłaganej wojnie spłynęła strumieniami krew bohaterskiego narodu — przyniósł telegraf *wieści pokojowe.* Niepochwytne one jeszcze, niejasne i niepewne — a jednak zdają się wróżyć lepiej, niż wszelkie podobne dotychczasowe. Faktem jest, że przedwstępne układy pokojowe już rozpoczęto, że członkowie rządu transwalskiego o ile pozostali w ojczyźnie, udali się pod eskortą angielską do obozów Bothy, Delareya i De Wetta, aby omówić z nimi ewentualne złożenie broni; faktem jest, że i sędziwy Krueger w Holandyi bierze udział w tych rokowaniach. Na jakich warunkach stanie pokój, tego może jeszcze nawet obie strony wojujące dokładnie nie wiedzą, zależy to od dalszego przebiegu układów. To pewne atoli, że Burowie dawnej niezależności politycznej już nie odzyskają. Może jednakże zdołają wymódz na Anglii przynajmniej zapewnienie swobodnego dla nich rozwoju narodowego pod jej panowaniem. Po tylu walkach, po tylu stratach i cierpieniach smutny to koniec. A jednak, jak słusznie zauważył niedawno Sienkiewicz, szczęśliwymi jeszcze mogą być Burowie, że mają przeciwko sobie Anglią, a nie inne państwo Europy. Anglia żądna jest panowania i władzy, nigdy atoli nie wydziera podbitym narodom języka i narodowości, nigdy nie ogołaca ich zupełnie z praw politycznych i obywatelskich.

Bądź jak bądź, chwila obecna korzystniejsza jest do zawarcia pokoju — niż była którakolwiek w długiej tej wojnie. Zwycięstwo Delareya nad Methuenem przekonało Anglią, że długo jeszcze musiałaby się borykać z niezłomnym hartem Burów, a przecież sama bardzo już jest znużona tą wojną. Wspaniałość zaś, jaką okazał Delarey względem pojmanego generała angielskiego, usposobiła bardziej pojednawczo opinią w Anglii. Świeżo zamknął jej oczy na wieki nieprzejednany wróg republik Burów — Cecil Rhodes i więcej już bruździć nie będzie. Tak tedy nadeszła pora do zakończenia krwi rozlewu. Zapewne zaś cały świat cywilizowany jedno tylko żywi życzenie, aby Burowie jak najlepsze uzyskać zdołali warunki.

Anglia, uporawszy się z tem utrapieniem swojem, rychło niezawodnie znów zacznie wywierać wpływ dobitny na bieg wypadków w Europie i Azyi — czego w ostatnich dwóch latach nieraz wyrzec się musiała.

Hrabia *Bülow* skorzystał z wakacyi wielkanocnych, aby uporządkować zewnętrzne stosunki Rzeszy niemieckiej, które w ostatnim czasie na dobre plątać się zaczęły. W tym celu pojechał do *Włoch* i w Wenecyi spotkał się z prezesem nowego gabinetu włoskiego *Prinettim*. Podróż ta ma wybitny charakter polityczny — to wszyscy przyznają. Ogólnie panuje mniemanie, że w Berlinie zaniepokojono się bardzo umizgami Włoch do Francyi. Hr. Bülow oświadczył wprawdzie w parlamencie, że trójprzymierze nie jest ostatecznie nieodzownym warunkiem potęgi i bezpieczeństwa Niemiec, na dnie serca swego dyplomaci niemieccy inne jednak żywią przekonania. Uznano tedy za potrzebne zapukać do drzwi niepewnego sprzymierzeńca i przypomnieć mu jego zobowiązania. Chodziło też o to, aby uspokoić obawy Włoch co do nowej niemieckiej taryfy celnej. Jaki będzie skutek tych zabiegów hr. Bülowa, trudno przewidzieć; to atoli wynika z nich jasno, że Niemcy nie czują się tak pewnymi siebie, jak to udają przed światem, a zwłaszcza przed *Polakami*.

Kto wie nawet, czy trójprzymierze nie jest Niemcom dziś potrzebniejsze niż było kiedykolwiek. Nie trudno bowiem dostrzedz, że stosunek do Rosyi pogarsza się z dniem każdym — na co wpłynęła zapewne niemało także znana sprawa *Grimma*. Być może, że rząd rosyjski nie daje tego jeszcze uczuć Niemcom wyraźniej, za to opinia ogółu w Rosyi wręcz wrogo względem nich usposobiona. Nawet zwykle życzliwe dla Niemców dzienniki wskazują coraz częściej na niebezpieczeństwo, jakie grozi Rosyi ze strony licznej rzeszy Niemców, żyjącej w granicach rosyjskich, zwłaszcza w Królestwie Polskiem. Świeżo zaś Towarzystwo słowiańskie w Moskwie uchwaliło ze względu *na ostatnie wypadki w Poznańskiem bojkotować tak samo wyroby niemieckie, jak to czynią Polacy*. Zbiera się tedy powoli wielka burza nad głowami Niemców w Rosyi i nad przemysłem niemieckim, a to nie może pozostać bez wpływu także na polityczne stosunki między obu państwami. My naturalnie nie potrzebujemy smucić się z tego powodu.

Ubolewać tylko można, że Rosya przechodzi obecnie znowu jedno z owych przesileń wewnętrznych, które już niejednokrotnie wstrząsały jej organizmem. Zaburzenia studenckie przybrały tam przez przyłączenie się do studentów warstw robotniczych prawdziwie rewolucyjny charakter. Zaroiły się już więzienia od więźniów politycznych, zamknięto kilka wszechnic, lecz niepokój trwa dalej i nie wiadomo, kiedy i jak się skończy. A to znów krępuje rząd w jego polityce zewnętrznej.

Cieszyć się tylko można, że *studenci polscy w Królestwie* nie dali się porwać ogólnemu prądowi, lecz zachowują się spokojnie. W uniwersytecie warszawskim odbywają się wykłady dalej, a i politechnikę, zamkniętą przed dwoma tygodniami, już po tygodniu otwarto ponownie, przez co młodzież nic nie straciła z czasu studyów. Pomyślny to objaw dojrzałości tamtejszej młodzieży naszej.

Inny atoli wypadek zaniepokoił cały ogół polski. *Biskup wileński*, ks. Zwierowicz, wydał oto okólnik do duchowieństwa i wiernych, zabraniający im pod surowemi karami kościelnemi posyłać dzieci do prawosławnych szkół cerkiewnych, ponieważ w nich nietylko się wynaradawiają ale i tracą wiarę. Za ten słuszny zresztą zupełnie krok — wezwano ks Biskupa Zwierowicza do Petersburga, a według innych wieści, już go podobno pozbawiono urzędu i wywieziono w głąb Rosyi. Pewnego jeszcze nic nie wiadomo o tem. Gdyby się atoli wieści te sprawdziły, musiałyby znów bardzo zrazić Polaków do Rosyi i zerwać co dopiero nawiązane stosunki pojednawcze.

Na półwyspie *bałkańskim* wre znów jak w kotle. W Macedonii zanosi się podobno z wiosną na zbrojne powstanie, a w Albanii panuje rzekomo zupełna anarchia. Wiadomo zaś, że z zajść takich często już wynikały następstwa, które zakłócały pokój Europy. — Jako ciekawą, chociaż mało prawdopodobną warto zanotować pogłoskę, iż wkrótce ma się odbyć w Sredcu czyli w *Zofii*, w stolicy *Bułgaryi* zjazd monarchów słowiańskich, a mianowicie: *cara Mikołaja, księcia Ferdynanda* bułgarskiego, króla *Aleksandra serbskiego* i księcia *Mikołaja* czarnogórskiego. W celu przygotowania zjazdu tego udał się do Petersburga prezes ministrów bułgarskich *Danew*.

Na nic, jak się zdaje, nie przydała się Niemcom szumna wyprawa księcia *Henryka* do Ameryki. Jak bowiem donoszą, grozi Ameryka Niemcom zupełnem wykluczeniem całej kategoryi niemieckich wyrobów od dowozu, jeżli Niemcy nadal utrudniać będą dowóz mięsa amerykańskiego do Niemiec. Dla Amerykanów interes — przedewszystkiem!

U nas toczy się po dawnemu bezlitośna walka przeciwko *społeczeństwu polskiemu*. We *Wrześni* zatrzymano nadal 40 dzieci polskich, chociaż ukończyły już 14 rok życia, za ich opór przeciwko niemieckiej nauce religii, znów rozwiązano kilka wieców polskich — znów rozbrzmiewają wieści o biciu dziatwy polskiej. Jedyna pociecha dla nas, że Niemcy między sobą coraz gwałtowniej biorą się za czupryny. Spór powstał mianowicie o nowy dom kasynowy *dla Poznania*, który rząd zamierza wystawić kosztem 4 milionów marek. Struchleli na tę wieść hoteliści i restauratorowie niemieccy, gdyż dom taki byłby dla nich prawdziwą ruiną, zaniepokoili się także *żydzi*, gdyż prawdopodobnie z tego przybytku niemczyzny *wykluczeni* zostaną. Jako kuryozum warto przytoczyć, że ma on mieć osobne lokale i osobne nawet wejścia dla każdej warstwy społecznej, aby się nie mieszały między sobą. Mnożą się też głosy, zaklinające rząd, aby zaniechał takiego uszczęśliwienia uciśnionej w Poznaniu niemczyzny, a owe 4 miliony dał jej do rąk w inny sposób, może gotówką. Nam się zdaje, że ta czuła opieka rządu nie wyjdzie Niemcom na dobre; żydom zaś przypominamy, cośmy im już dawniej przepowiadali, że z objęć niemieckich wyjdą strasznie oplwani i poturbowani. Nam zaś Pan Bóg zginąć nie pozwoli, choćby rząd hojniej jeszcze na naszą zgubę szafował milionami!

K. O.

PRZEGLĄD PRASY.

Nie zgnębią nas i nie zdołają wytępić! Przedewszystkiem zaś nie zdołają nam odebrać wiary w lepszą przyszłość. Zanadto silnie oparliśmy się na Bogu i boskiej sprawiedliwości — z niej też czerpiemy naszą niezłomną siłę żywotną.

Panom ministrom w Berlinie zaś, oraz wszystkim innym wrogom naszym radnimy, aby znów przeczytali artykuły prasy polskiej z okazyi tegorocznych świąt wielkanocnych. Dziwili się oto, że dziatwa polska i lud nasz mniemają, iż pan Jezus przemawiał po polsku. Z artykułów tych przekonają się może, że to orzeczenie nie jest frazesem, nie jest objawem ciemnoty, lecz jedynie wypływem ogromnej wiary ludu i miłości jego do Zbawiciela. Dziś bowiem nietylko lud nasz i jego dziatwa tak się skojarzyła z Synem Bożym, iż Go uważa za Swego — ale także cały nasz ogół. Po polsku do Niego przemawiamy, polską mową, polską wiarą — a trudno nam sobie wyobrazić — jakoby on do nas inaczej mógł przemawiać. Ten ogrom wiary naszej przebija też ze wszystkich artykułów świątecznych gazet polskich. Kto je przeczyta, kto się zastanowi nad ich treścią, ten chyba dojść musi do przekonania, że nas nic pokonać nie zdoła, że chcąc nas zgnębić — trzebaby najprzód — zniweczyć prawa Boga!

„Kuryer Poznański“ tak kończy swój artykuł wielkanocny:

„Gdy zewsząd otaczają nas moce i potęgi złego, gdy kraj cały brzmi od jęku i lamentu matek, od krzyku o dzieci, o dzieci nasze, gdy dzień każdy, godzina niemal każda nową przynosi klęskę, nowy cios przeciwko temu, co najdroższe człowiekowi na ziemi, rozpacz i zwątpienie niejednokrotnie próbują się wcisnąć do serc naszych.

„Ale przeciw tym złym podszeptom występuje do skutecznej walki czynnik ufności w Boga i w pracę zbożną z niestrudzoną, w energią w dobrem, do której nas sumienie zobowięzuje. Ta ufność, ta wiara w skuteczność prawdziwie dobrych i uczciwych starań staje przed nami dziś żywiej, jak kiedykolwiek.

„Dlatego też, pomimo wszelkich boleści, które serca nasze przejmują, wtórujemy dziś pieśni nadziei i zmartwychwstania, którą dzwony wielkanocne ślą na niwy i łany naszej ziemi, w wiecznem i nieśmiertelnem Alleluja.“

„Poważny“ „Dziennik Poznański“ — chociaż zwykle najbardziej ze wszystkich pism polskich trwoży się o przyszłość — jednak zdobywa się na takie wyznanie:

„To prawda, że okoliczności, wśród których walczymy o prawo i słuszność, o wiarę i narodowość, o byt i jaki taki kawałek chleba, są smutne i zniechęcające słabsze umysły, ale ci, co zahartowani w walce, umieją patrzeć w przeszłość i w przyszłość, umieją ważyć rozliczne czynniki i ich znaczenie, jeszcze się *potrafią utrzymywać z daleka od ostatecznej rozpaczy.*“

„Dziennik Pozn.“ ufa, że sprawiedliwość Boża popsuje szyki wrogów i że złość, jaka ich trawi — w końcu zupełnie rozum im odbierze i im samym najdotkliwiej da się we znaki.

Krótko, ale jędrnie wita zmartwychwstającego Zbawiciela „Goniec Wielopolski“ — a do radosnej tej uroczystości takie nawięzuje uwagi:

„Tak rok rocznie powraca to święto i napełnia nas otuchą, iż po grobowej niewoli nastąpi zmartwychwstanie.

„Ojczyzna nasza znajduje się w więzach, pogrzebana przez wrogów. Lecz któż z nas nie wierzyłby w lepszą przyszłość narodu? Dopókąd serca polskie biją tętnem miłości do drogiej Ojczyzny, tak długo wiara w zmartwychwstanie narodu nie może być mrzonką. Chociaż więc głaz ciężki nas przygniata, nie pytajmy się, jak owe niewiasty: „a któż nam go odwali?“, lecz ufając we własne siły, rozbudzajmy miłość w uśpionych i gotujmy się do radosnego hymnu; „Alleluja!“

W silny też akord ufności i wiary uderza „Dziennik Berl.“, pisząc:

„Naród nasz, życie jego odrębne, myśleli pogrzebać na zawsze, odbierając nam polityczną samoistność, obstawili nas i obstawiają strażami, przygnietli nas *głazami* ukazów i zakazów, mniemając, że ludzkie te przezorności wystarczą, by nie stanęła już nigdy na świetle Bożem postać złożonej w grobie politycznym Polski...

„Zapomnieli, że *głazem* można *głaz* przycisnąć i trupa, *ale nie ducha*, nie życie, nie moc Bożą, objawiającą się i w życiu krzewów i roślin. Toż głazem ludzkie ręce nie zdolne nawet powstrzymać wzrostu rośliny lub krzewu; z korzenia wybiegają coraz silniejsze pędy i usuwają sobie z drogi głazy, a nierzadko rozsadzają je swoją siłą żywą.

„Tak i z głębin narodu naszego coraz silniejsze pędy strzelają ku górze, ku słońcu, i w oczach zdumionych wrogów pryskają jedne po drugich głazy, jakiemi zatrzymać mniemali w ziemi ciało narodowe.“

Z martwych — wstanie! Woła także krakowska „Nowa Reforma.“ Utrapienia nasze dzisiejsze uważa jedynie za dalszy ciąg pokuty, za dawne grzechy. Oto — co pisze:

„Za wszystko trzeba odpokutować. My musimy wyrównać niewypłacone długi przodków. Za ich winy musi być ekspiacya. W rozwoju narodu przeskoków być nie może: czego przed nami nie zrobiono, my zrobić musimy. Oto zejść winniśmy do najniższych warstw narodu, ogrzać je wielką miłością, oświecić, podnieść, uszlachetnić walką i bolem. Musimy żyć wszyscy, ożywiać się jednem tętnem; wtedy będziemy dopiero narodem do czynu zdolnym, wtedy odwalimy z grobu Ojczyzny kamień niewoli. Dzisiaj jeszcze nas za mało, jeszcześmy nie dokonali dzieła własnego odrodzenia.

„Więc wytrwajmy w tym dziele, zaledwo rozpoczętem, a przecież tak wdzięcznem, rezultatami tak zachęcającem. A wierzmy w przyszłość i tą myślą żyjmy, że jak dzisiaj świat katolicki cieszy się i raduje świętem Zmartwychwstani Syna Człowieczego, co życie dał swoje za ludzkość, tak i dla nas, dzisiaj wzgardzonych i nieszczęśliwych, wybije kiedyś na dziejowym zegarze godzina z marwychwstania wolnej i niepodległej Ojczyzny.“

Taki sam ogrom wiary przebija z rozmyślań świątecznych „Wielkopolanina“, „Gazety Toruńskiej“, „Grudziądzkiej“ i wszystkich innych u nas i na obszarze reszty Polski.

I cóż wy na to, panowie Bülow'y Hammersteiny i jak się tam zowiecie? Czy wasze argumentacye, wasza na nich opierająca się racya stanu zdoła coś zdziałać wobec tej wiary i ufności w Boga i wynikającej z niej siły *moralnej*?

A głosy te prasy polskiej na tem większą zasługują uwagę, że pisane były pod grozą okropnego dramatu, jaki się wydarzył w Poznaniu, w wigilią niedzieli palmowej, a który do głębi wstrząsnął całem społeczeństwem. Nawet ot cios taki nie zdołał zachwiać naszej wiary i ufności, lecz przeciwnie — jeszcze je spotęgował.

Swoją drogą, zaznaczamy to z ubolewaniem, ocena dramatu tego w prasie naszej nie odpowiadała jego grozie ani właściwej istocie. Źle jest, jeźli społeczeństwo zbyt skwapliwie za wszystkie swe usterki wewnętrzne zwala winę na obcych, na wraży, gniotący ją system; ale gorzej jeszcze, jeśli oskarża się i swoich o to, co jest wyłącznie niemal wynikiem stanu rzeczy nie od nas zawisłego. Nieszczęsny czyn owych trzech młodzieńców był to *owocem złych stosunków; to należało podkreślić, bo tak czuło i tak oceniło dramat okropny całe społeczeństwo polskie.* Uczyniły to niektóre pisma galicyjskie, nie konstruując z tego jakichś zarodków wewnętrznego rozstroju, którego niema jeszcze — dzięki Bogu — w naszem społeczeństwie.

Nie czyńmy koncesyi na rzecz wrogów naszych, nie cofajmy się przed nimi, nie bierzmy na siebie winy, którą chyba tylko zła wola prześladowców mogłaby nam przypisać.

Tematu do dyskusyi dostarczyła w ostatnim czasie prasie naszej odezwa poważnego grona obywateli, przestrzegająca młodzież naszą przed łączeniem się w towarzystwa i związki tajne — czyli jednem słowem, przed narażeniem się na kary szkólne i sądowe, względnie na zwichnięcie przyszłości. Odezwa ta składa się z dwóch części — pierwsza zwraca się do młodzieży gimnazyalnej, druga do pozaszkólnej — także uniwersyteckiej. Ogólnie rzecz wzięta — jest ona jakoby rozprowadzeniem naszego artykułu pod nagłówkiem: „Straszny obowiązek“ — szkoda tylko, że inaczej przemawia do młodzieży gimnazyalnej a inaczej do „pozaszkólnej.“ Do pierwszej z prawdziwie ojcowską miłością, do drugiej *za cierpko* i nie dość jasno. Przyznaje jej bowiem prawo zajmowania się sprawami publicznemi, a zaraz potem żąda od niej, aby nie pragnęła odgrywać roli politycznej, aby unikała wszystkiego, coby mogło ją wprowadzić w kolizyą z władzami. Tu należało się jaśniej wyrazić. Wiadomo przecież, że rząd najniewinniejsze nawet pielęgnowanie ideałów naszych poczytuje już młodzieży naszej za zbrodnią, za odgrywanie roli politycznej. Niejasność ta może wywołać w umysłach młodzieży naszej zamieszanie i zrazić ją nawet do tego, co koniecznie czynić powinna.

Prasa nasza przyjęła odezwę tę życzliwie. „Dziennik Pozn.“ skorzystał naturalnie ze sposobności, aby wylać znowu żółć swoją na rzekomych narodowo-demokratycznych uwodzicieli młodzieży. „Dziennik Berl.“ zgodził się na nią z pewnem zastrzeżeniem, stanowczo prze-

ciwne stanowisko zajął jedynie „Goniec Wielkopolski.“ Uważa on ją za zupełnie zbyteczną, w końcu zaś wypowiada uwagi, na które po części możnaby się zgodzić. Uwagi te brzmią:

„Mądre rady, jakich nie szczędzono młodzieży w odezwie, zachęta do nauki i dobrego prowadzenia się, wszystko to niewątpliwie bardzo piękne i wzruszające, ale to samo świadczy, jak mało inicyatorowie znają młodzież tutejszą. I nic dziwnego. Pod odezwą znajduje się pomiędzy innemi wiele nazwisk ludzi, nie znających stosunków nawet swego najbliższego otoczenia, nie umiejących się zebrać nawet w najciaśniejszem kole. Dlatego radziłbym tym panom, aby najprzód przyjrzeli się tej młodzieży, której tak hojnie sypią dobre rady, z bliska, a jako mentorzy jej wystąpili dopiero wtenczas, jeżeli po dokładnem zbadaniu tej młodzieży i własnego sumienia z ręką na sercu powiedzieć sobie będą mogli, że lepiej, sumienniej, skrupulatniej i rozsądniej wypełniają wszystkie swoje obowiązki.

„Niech się ci panowie zastanowią, chociażby tylko nad tem, czy sam fakt, *że młodzież gimnazyalna jest prześladowaną, nie oskarża poniekąd starszej generacyi. Jeżeli szkoła nie dała młodzieży tego co powinna, to w pierwszej linii mieliby zapewne ojcowie obowiązek dbania o dostarczenie swym synom tej strawy duchowej, jakiej im potrzeba. Jeżeli zaś ojcowie baczą pilnie na to, aby synowie nie zaniedbali lekcyi muzyki lub tańca, a nie pomyślą o lekcyach historyi, literatury i gramatyki*, jeżeli młodzież wobec tego sama z własnej woli wypełnia to, co właściwie jest obowiązkiem rodziców, narażając się przy tem na niebezpieczeństwo, to któż za to jest odpowiedzialnym?

„Kto chce apostołować, musi posiadać ducha apostolskiego, mianowicie gdy chce występować wobec takiej młodzieży, jak nasza. Ale prawić morały baranowi, którego wilk pożera, to nie bardzo wzruszające ani też skuteczne apostolstwo.“

Z pism poza zaborem pruskim także „Nowa Reforma“ zaznaczyła zdanie — które najzupełniej zgadza się z powyższemi *naszemi* uwagami.

Około smutnej doli młodzieży naszej skupia się dziś wgóle cała uwaga społeczeństwa i prasy. I tak fakt wydalenia blizko 40 akademików polskich „obcokrajowych“ bez wszelkiego powodu skłonił „Dziennik Kujawski“ do wypowiedzenia następującej trafnej oceny postępowania Prusaków:

„Niedawno berlińskie pisma hakatystyczne wskazując na zastęp akademików z zagranicy przechwalały się *gościnnością*, zapominając całkiem o gremialnem wydaleniu trzydziestu tysięcy Polaków zagranicznych na skinienie Bismarcka i zapominając o nieustającem wypędzaniu poddanych austryackich z granic tego państwa „porządku i miłości boskiej“.

„Teraz mamy dowód iście *pruskiej gościnności.*

„W krótkim przeciągu czasu po raz wtóry ujawnia się w sposób drastyczny fakt, że dość młodym ludziom ściągnąć na siebie cień podejrzenia, by policya lub zwierzchnicy postąpili sobie z nimi z nieprzykładną nigdzie bezwzględnością. A ponieważ chodzi tu o cudzoziemców, więc chwycono się o tyle prostej o ile... niesłychanej metody i „gościnne“ Prusy wskazały drzwi nawet akademikom, na których nie ciężył ani cień podejrzenia.

„Pozbawienie kilkudziesięciu Polaków sposobności kształcenia się na uniwersytecie berlińskim sprawi niemałą radość hakacie, lecz nie podniesie bodaj akcyi kanclerza hrabiego Bülowa, który jest za ten krok policyi berlińskiej niezawodnie moralnie odpowiedzialnym.“

Innym ważnym wypadkiem w codziennem życiu naszem był pobyt grona *Czechów* w Poznaniu. Bawili tu w przejeździe do Korony — celem nawiązania stosunków handlowych z polskiem kupiectwem tamtejszem. Rozglądali się bacznie, lecz bynajmniej nas nie podziwiali. Raził ich zwłaszcza *brak energii w życiu handlowem i dorobkowem* u nas. „Kuryerowi Pozn.“ należy się szczere uznanie, że zapoznał nas z ich zdaniem. Oto co o nas mówili:

„Główna batalia rozgrywa się u was na polu ekonomicznem.

„Cóż mi po zbudzonym Polaku, jeżeli on jest żebrakiem w porównaniu do Niemca. My byliśmy w gorszem położeniu od was. Niemczyzna dusiła nas tak, że można było już mówić o śmierci narodu czeskiego. A jednak zbudziliśmy się, i dziś Praga jest naprawdę czeską.

„Wy Niemców sami wpuściliście do przewagi w waszym kraju, a potem chcieliście ich wyrzucić spiskiem i powstaniem. To polityka nerwów, polityka narodu kobiecego. Dziś nie spiskujecie, ale też nie budzicie się dość szybko ekonomicznie. *Nie liczcie na życzliwość żadnego stronnictwa niemieckiego.* Żadne wam nie pomoże na prawdę. Ale pracujcie zapamiętale. Oszczędzajcie każdy grosz, a tego zaoszczędzonego grosza nie chowajcie za piec, ale walczcie nim w przemyśle, handlu i wogóle na polu ekonomicznem.

„Śmiali się Czesi z napisów niemieckich na tramwajach.

„— Przecież to Towarzystwo akcyjne. Czemuż Polacy nie mają większości akcyi. Czemuż publiczność polska, jeżdżąca, okazuje, że rozumie napis niemiecki. Przecież to od niej zależy. Pół roku stanowczości zmusiłoby nawet niemieckie Towarzystwo do uwzględnienia napisów polskich. Dywidendy swojej nie zechciałoby ono ryzykować.

„Śmiali się dalej Czesi z subwencyi dla niemieckiego handlu i przemysłu.

„Każdemu wolno to uczynić, co mu się podoba, gdy chce komuś uczynić prezent, ale tam, gdzie konsument jest polski, na cóż się to przyda.

„Byle ten konsument na prawdę wiedział, czego chce. Mamy u nas pewną autonomię narodową, ale ona była *wynikiem*, a nie powodem naszej siły.

„Tak mówili bracia Czesi, a w słowach ich zawartą jest niejedna gorzka prawda.“

Zupełnie po myśli tych głosów czeskich nawołuje teraz i „Gazeta Gdańska“ w pięknym artykule do energii w obronie języka ojczystego. Oto co pisze:

„Powiedzcież tylko, czemu my do Niemców po niemiecku mówimy? Wszak tylko w sprawach urzędowych do urzędników nakazuje nam prawo po niemiecku mówić.

„A myśmy tacy słabiutcy i uniżeni, że idziemy nawet po za to prawo wyjątkowe przeciw nam zrobione i sami po niemiecku gadamy, gdzie nie musimy!

„Myśmy Polacy i mówimy po polsku, to nasze święte prawo, co więcej, to nasz święty obowiązek.

„Prawo z 28 go sierpnia roku 1876 każe ci mówić i pisać w sprawach urzędowych do urzędów i urzędników po niemiecku. A to już trzeba ci tak koniecznie czynić, — bo prawa słuchać trzeba, — ale więcej też ani w ząb!...

„Idziesz więc do urzędu, to mów sobie z twym towarzyszem spokojnie po polsku, — bo dom to nie urząd. Ten dom tak samo dla Polaków, jak i dla Niemców jest zbudowany. Mów tam więc śmiało po polsku i wcale się z tem nie kryj. W tej zaś chwili, — gdy urzędnikowi chcesz twą sprawę przedłożyć, wtedy mów po niemiecku!

„Ale, bracia, jakżeśmy upadli!... Jak winniśmy nawet być wdzięczni hakatystom, że nas uczą poznawać nasze błędy! Toć wielu z nas mówi nawet *między sobą po niemiecku!* Wstyd i hańba!...

„Z wszystkimi urzędnikami mówmy po polsku po za urzędem. Najprzód będą się sierdzić, ale przekonamy się wnet, że — o cudo — i oni mówią po polsku!... Byleśmy tylko byli twardzi i nie zmiękli, a wnet nam wtedy powie, że jego tatka mówił nawet biegle po polsku, jego ciocia zaś jest Polka, a stryj jego całe życie spędził w Polsce, a jego stryjeczny brat był w powstaniu i t. d. A gdy nie chce uszanować naszego języka, to niechże idzie swoją drogą.

„Ale kochany czytelniku, pewny trzeba znać we wszystkiem takt i sprawiedliwość. Idziesz do niemieckiego domu — to musimy uszanować zwyczaje i język tego domu. Wtedy mów do Niemca po niemiecku!

„Ale gdy Niemiec przyjdzie do Twego pomieszkania — to on Twój dom, Twoje domowe ognisko uszanować winien! I Ty Twemu domowi sam najpierw szacunek winieneś. — Niech tam język twój szanuje, przodków twoich i ojczyznę twoją — mów tam tylko i jedynie po polsku.

„Nie umie ów przybysz po polsku — to trudna rada, — niech wymaga od rządu, aby go po polsku uczył. — W najgorszym razie niech mówi sobie Niemiec — przeprosiwszy cię, że twego domu i języka uszanować nie zdoła — po niemiecku, ale ty bracie mów w twoim domu po polsku. — A choć przyjedzie pan minister — nie mów inaczej, tylko po polsku!

„Gdy tak będziesz postępował, wnet Niemcy sami powiedzą: zaiste, godny to szacunku naród.

„Ale jak mają nas — obci szanować, jeżeli się sami nie szanujemy?“

Święta to prawda, oby zyskała posłuch w całem społeczeństwie!

B. M.

Głosy od przyjaciół.

Senftenberg.

Kochana „Praco!“

Wiele Polaków i Polek znajduje się w okręgu Senftenbergu, ale niestety prawego Polaka i Polki trzeba z latarnią szukać. W Senftenbergu mamy kościół katolicki, mamy uczciwego kapłana, chociaż ma nazwisko niemieckie, ale jest Polakiem z krwi i z ciała! Mamy także Towarzystwo Katolickich robotników pod opieką św. Józefa, członków jest aż 80, a na zebrania zaledwie 20—30 przybędzie, na każdem zgromadzeniu mamy odczyty, z których wiele można korzystać. Nasi Polacy w Senftenbergu zamiast do Towarzystwa wstąpić, na zgromadzenia uczęszczać, udają się do szynkowni, których właścicielami są innowiercy. Tam do kieliszka zaglądają, rozpijają się, tam swoje nabożeństwo odprawiają, a podpiwszy sobie doskonale, wieczorem do domu się udawają, po drodze po polsku śpiewają i swe gardła rozdzierają, głosząc, że są Polakami; to też Niemcy się z nich wyśmiewają i drwinkują. Młodzież nasza wypiera się swej narodowości, rozpija się i włóczy się z Niemkami na salach tańca.

W parafii naszej jest dusz niemiecko-katolickich 25 familii a Polaków przeszło 550 familii. My Polacy mamy co drugą niedzielę kazanie polskie. W kościele Niemcy się panoszą za polski grosz. Dotychczas co niedzielę śpiewano podczas mszy św. po niemiecku, a Polacy jeszcze do tego swoje gardła natężali i z nimi śpiewali. Ale rzecz się wkrótce zmieniła; znalazł się człowiek, prawy Polak, syn Wielkopolski, on pobudzał i pobudza Polaków do śpiewu kościelnego w ojczystym języku. To pierwszy tryumf nas Polaków w Senftenbergu. Niemcy katolicy, gdy usłyszeli śpiew polski w kościele, z chóru pouciekali z taką szybkością, jak gdyby oszaleli. Do śpiewu biorą się najwięcej mężczyźni, niewiasty tylko za wielką prośbą.

Polak z Poznańskiego na Łużycach.

* * *

Blumenthal.

Szanowna Redakcyo!

Jako stały czytelnik „Pracy“ nieomal od jej założenia, pospieszam też wyrazić moje współczucie dla tych dzielnych pracowników sprawy narodowej, których tak ciężki cios spotkał. Tylko ludzie słabej wiary upadają na duchu, ale my tak łatwo nie upadniemy, boć cierpieć dla sprawy naszej jest dla każdego Polaka największym zaszczytem. I tak, gdy w pewnem towarzystwie obcych zapytano się jednego, jak może znieść tyle cierpienia, odpowiedział z godnością, że jest Polakiem. Więc prawdziwy Polak zniesie dość i za honor poczyta sobie więzienie za świętą sprawę narodową. Bo tego ducha polskiego, którego pan Biedermann i jego współpracownicy, którzy także za kratami cierpią, rozbudzili, żadne sądy pruskie nie potrafią stłumić. Im należy się od nas uznanie i cześć. My czytelnicy uznajemy, że wam nie lekko przychodzi tyle ofiar ponosić, niech wam więc to przynajmniej pociechą będzie!

Oczywiście kto „Pracy“ nie może zrozumieć, ten już chyba przez nikogo pouczyć się nie da. To też zadaniem mojem jest rozszerzać „Pracę“, gdzie tylko mogę, bo to dla nas korzyść wielka, jeżeli mamy coraz więcej uświadomionych pomiędzy sobą, którzy potem także są gotowi bronić wspólnych praw naszych.

Przez pismo jak „Praca“ dopiero się nabierze hartu ducha narodowego i świadomości swego celu. Nieraz Polacy z nieświadomości sami bicz na siebie kręcą, a gdy go potem na sobie uczują, to stękają, ale już za późno. Tak samo było w Blumenthalu przy ostatnich wyborach. Oto na powiat blumenthalski obrani byli przed 3 laty kandydatami na posłów do sejmu: dr. Sattler, znany dziś wszystkim Polakom, centrowiec i pewien socyalista. Największą ilość głosów dostali Sattler i socyalista. Z tego powodu przyszło do wyborów ścisłych. Obie strony wytężały wszystkie siły, żeby Polaków na swoją stronę dostać. Za Sattlerem stał landrat, więc taki był uprzejmy i dobry dla nas Polaków, że pozwolił nam na wyprawienie majówki nawet z chorągwią króla polskiego, Sobieskiego i sam z nami uprzejmie rozmawiał, a jak się wybory skończyły, to jakby ręką przewrócił. I tak Polacy dali się wziąść na lep i głównie przy ich pomocy Sattler socyalistę pokonał.

Wprawdzie policya nie zaczepia tutaj tak bardzo Polaków, jak gdzieindziej, ale też i nie ma o co, bo tu wszystko ospało postępuje. Mamy towarzystwa, ale te istnieją tylko dla zwyczaju, a zamiast iść solidarnie, kłócą się tylko między sobą i jedno drugiemu w rozwoju przeszkadza.

St. W.
Robotnik.

* * *

Herten, Westfalia.

Szanowna „Praco“!

Już nieraz czytałam w „Pracy“ różne korespondencye z rozmaitych stron, przeto i ja się namyśliłam i radabym parę słów w łamach „Pracy“ skreślić.

Bo już blisko rok minął, jak czytam „Pracę“ i ją tak całem sercem pokochałam, że mnie już nic od niej oderwać nie potrafi; jestem głęboko przekonaną, że „Praca“ jest najpoczytniejszem pismem polskiem dla nas Polaków, a osobliwie tutaj na obczyźnie i zarazem najlepszą bronią przeciw germanizacyi. I trzeba ubolewać nad tem, że to pomiędzy kobietami lub też dziewczynami bardzo mało takich się napotka, coby się choćby trochę rozszerzaniem i czytaniem „Pracy“ zajmowały.

Ale niejedna polska dziewczyna zamiast wziąść „Pracę“ do ręki, woli wolne chwile czasu na rozmaitych niemieckich balach i różnych „Tanzvergnügungach“ spędzić, i mówi, że z tego czytania to żadnej przyjemności nie ma.... A tam na niemieckich tańcach, to przecież *fein*. Ale niechże tylko ta dziewczyna, co tak sądzi, ma się na baczności, bo te niemieckie grzeszne zabawy mogą ją i wiele innych polskich dziewcząt na największe niebezpieczeństwo wystawić i do ogromnej zguby przyprowadzić....

Bo po prawdzie to też nie jest zabronione, żeby nie pójść za postępem czasu? Przytem nie trzeba też zapominać o zachowaniu najdroższych naszych skarbów, to jest: wiary oraz języka czyli narodowości.

Pamiętajcie wy, matki Polki, że Pan Bóg dał nam te najdroższe skarby nie dlatego, żebyśmy je marnować i niszczyć miały, lecz na to, żebyśmy je zachowały i troskliwie pielęgnowały jak najwięcej jak to on przykazuje.

Pamiętajcie matki Polki także i o tem, że germanizacya toruje drogę do protestantyzmu. Czy chcecie więc dzieci wasze na tak wielkie niebezpieczeństwo utraty wiary św. katolickiej narazić?

Pamiętajcie przecież o tem, że kiedyś przyjdzie godzina, w której będziecie musiały zdać przed Bogiem rachunek i będzie wam ciężko na sercu i sumieniu, żeście wasze dzieci źle wychowały. A jeżeli dobrze, to wam Pan Bóg będzie błogosławił.

Taka matka będzie spokojnie umierała, bo spełniła swój obowiązek.

Dlatego potrzeba nam koniecznie zgody, jedności i miłości braterskiej wobec wszystkich tych prześladowań, które ustawicznie znosić musimy. Więc, bracia i siostry, kochajmy się jak najwięcej, a wtedy też Pan Bóg będzie nam błogosławił.

Pozdrawiam kochaną „Pracę“ całem sercem i życzę jej jak najlepszego powodzenia i jak najlepszego rozwoju oraz zbioru jak najobfitszego.

Teresa Sz.
wierna i stała czytelniczka „Pracy“.

Sprawy ekonomiczne.

Nasz dyletantyzm w przemyśle.

Dziwili się bracia Czesi podczas swej bytności w Poznaniu, że pomimo naszej większości liczebnej nie możemy jakoś sprostać Niemcom w dziedzinie ekonomicznej. Prawdomówni to ludzie, szczerzy i otwarci w poczuciu swej siły i niezależności — nie obwijali też i wobec nas rzeczy w bawełnę, lecz prawili nam prawdę, bez względu na to, że była dla nas gorzką i cierpką zarazem. A no! wdzięczni im za to powinniśmy być, a przedewszystkiem wziąć sobie do serca ich rady i wskazówki i wedle nich postępować.

Na ogół jednakże wziąwszy — przewyższamy w dziedzinie handlowo-przemysłowej o całe niebo braci naszych w Galicyi. Gdybyśmy posiadali ot chociaż połowę tych środków naturalnych i korzystnych warunków, jakie oni mają do dyspozycyi, zapewne bracia Czesi wydaliby byli o nas sąd mniej ujemny.

Co uderza w Galicyi najbardziej — to niesłychany wprost dyletantyzm handlowo-przemysłowy, a uderza tem bardziej, że przecież nie braknie tam już szkół fachowych a jest i łatwa możliwość praktycznego wykształcenia się w swym zawodzie tuż o miedzę — w Czechach.

Monstrualnym wprost wyskokiem tego dyletantyzmu — jest pomysł założenia fabryki polskiej . . . . z publicznych składek centowych, jaki pojawił się w Krakowie. A jakiej fabryki? Hm! Tego inicyatorki same jeszcze dobrze nie wiedzą. Tak! inicyatorki — bo pomysł ten wyszedł od kobiet, od pań polskich. Gdy będzie fundusz — powiedziały sobie — to już będziemy wiedziały, co z nim zrobić. Wydały tedy odezwę ognistą i wezwały pisma, aby im pomagały w zbieraniu składek. Z pism krakowskich jednakże tylko „Głos Narodu“ — pragnący gwałtem stworzyć sobie „partyą“ — popiera tę monstrualną naiwność. „Nowa Reforma“ natomiast stanowczo odmówiła zbierania składek na ten cel. I słusznie zupełnie.

Cenimy wysoko nasze panie, zwłaszcza te, które zajmują się sprawami publicznemi, uznajemy ich dobrą wolę i zapał do pracy, którym nieraz przewyższają mężczyzn. Radzilibyśmy jednakże nie rozdrabniać go zanadto, nie trwonić na pomysły i zadania, które przekraczają zakres zadań i zdolności niewieścich. Fabryka — zacne panie — to nie żłóbek, nie szpital, nie bazar dobroczynny — lecz przedsiębiorstwo strasznie realne i materyalistyczne, które z uczuciami i fantazyą nic nie ma wspólnego. Fabryka, handel — opierać się musi nie na zapale — lecz na zimnym, chłodnym obrachunku, na ściśle kupieckiej kalkulacyi, której celem jest zysk — oraz na fachowem kierownictwie. Skoro przy takiej instytucyi zniknie albo na drugi plan zejdzie kwestya zysku, fabryka zamienia się w instytucyą dobroczynną a jako taka nie może się rozwijać ani przynosić korzyści krajowi. Najlepiej prosperują fabryki, zakładane przez *jednostki*, posiadające należytą kwalifikacyą fachową i odpowiedni kapitał, albo opierające się na spółce udziałowej lub akcyjnej. Wszelka inna forma, to utopia. A cóż się u nas dzieje? Te same sfery, które dziś marzą o fabryce za centowe składki, zwykle własnych przedsiębiorstw handlowo-przemysłowych nie popierają, twierdząc, że wyroby lub towary ich nie są dość piękne, trwałe lub dość modne. Zaniosą tedy poważne sumy do obcych, a swoi, właśnie najzdolniejsi, zwykle upadają.

Nie, drogie panie! Zamiast bawić się w tak monstrualnie-naiwne pomysły, popierajcie tych z pośród kupców i przemysłowców naszych, którzy rządzą się zdrowym zmysłem handlowym, chociaż nieraz paniom naszym wydają się „za mało grzeczni i uprzejmi“. Tem przysłużycie się sprawie więcej, niż utopiami.

M.

O przemyśle i handlu ludowym

(Ciąg dalszy i dokończenie.)

Na obronę jednakże ludu naszego przyznać trzeba, że wina tego nie leży tylko po jego stronie, lecz w przeważnej części po stronie wyższych klas społeczeństwa, które nie pomyślały o tem dotychczas, aby mu dać dostateczną sposobność kupowania u swoich, które nie strwoniły dotąd swojskiego przemysłu i handlu ludowego! Trudno kupować u swoich, kiedy ich nie ma!

Trzecim powodem tego smutnego objawu są podobno w znacznej części narzekania ludu na traktowanie go z strony naszych kupców. Lud nasz przyzwyczajony od wieków do kupowania u żydów, lubi się targować, potrzebuje dużo czasu zanim sobie coś wybierze i zanim się na kupno zdecyduje. Kupców naszych to irytuje, łatwo chłopa ofukną, a czasem i za drzwi wyproszą, podczas gdy żyd zniesie to cierpliwie, jeszcze chłopa wódeczką, kobietę kawą i plackiem poczęstuje, a dzieciaka obrazkiem świętego — bo wie, że mu się to sowicie opłaci. Kupiec więc ludowy powinien się nauczyć tej samej grzeczności i uprzejmości wobec swej klienteli, bez której żaden handel dla wyższych sfer już dzisiaj istniećby nie mógł; powinien dobierać towary wedle smaku i upodobania swych odbiorców i być wyrozumiałym na ich dotychczasowe nawyknienienia.

Najważniejszą jednak przyczyną, że handel nasz ludowy tak słabo się rozwija jest to, że nie mamy hurtowników, od którychby kupcy nasi towary takie nabywać mogli; że nie mamy organizacyi i handlu ludowego, ani szkoły, w którejby młodzi kupcy tej gałęzi handlu wyuczyć się mogli. Społeczeńswo nasze nie uprzytomniło sobie jeszcze olbrzymiej doniosłości tej kwestyi, nie ma jeszcze świadomości tego, jak ogromne miliony przechodzą rok rocznie z rąk ludu do rąk obcoplemieńców — i nie pokusiło się jeszcze o naprawę złego. Wobec grozy stosunków czas jednakże najwyższy, ażeby się zabrać do tego z zapałem, rozumnie i energicznie.

A czy naprawa ta jest możebna?

Dlaczego nie!

Naród to wielka gromada, i kiedy sobie powie, że żyć chce, to żyć będzie!

I gdyby tylko to jedno hasło:

„Swój od swego“ — „Naród sobie,“ które u pobratymców naszych Czechów dokazało takich cudów — w narodzie naszym przeszło w krew i kości, to ten sam cud stałby się i u nas — i bylibyśmy również bogatym, kwitnącym i szanowanym narodem!

I czego do spełnienia tego potrzeba? Bardzo niewiele!

Niechaj tylko każdy, kto czuje wielką doniosłość tego hasła, nauczy choćby dziesięciu z swoich młodszych współbraci znaczenia tegoż, niech mu wpoi głęboko zasady „Swój od swego“ — „Naród sobie“, niechaj wszystkie nasze pisma publiczne umieszczą pod godłem „Uczmy dzieci nasze po polsku“ „Swój od swego“ i nawołują do skierowania milionów płynących dotąd do obcych kieszeni w nasze koryto; niechaj społeczeństwo nasze założy kursa kilkotygodniowe dla mniejszych kupców ludowych i kramarzy, w którychby takowi nauczyć się mogli rzeczoznawstwa towarów i książkowości takiej, jaką prowadzić powinni. — Niechaj społeczeństwo, a zwłaszcza światlejsi kupcy, banki nasze, duchowieństwo i wszyscy przyjaciele ludu otworzą jeden wielki magazyn, czyli wyrób i handel hurtowny wszelkich artykułów ludowych od śledzia i tasiemki, do cukru i korali, od kos i wideł, do nasion i sztucznych nawozów, z któregoby mniejsze handle i kramy za rzetelną cenę towary te nabywać mogli — albo niech założą wielkie towarzystwo akcyjne z udziałem od 10 do 50 mk. z warunkiem, że każdy kupujący z tego magazynu musi zostać jego członkiem, musi wziąść w stosunku do ilości kupowanych towarów i żądanego kredytu odpowiednią ilość udziałów czyli akcyi, — a słowo to stanie się ciałem!

Stworzymy rodzinny, swojski przemysł i handel ludowy, zdejmiemy czar dotychczasowy z milionów wędrujących do obcych kieszeni, a na pociechę naszych najserdeczniejszych odbijemy w kilku latach te miliony, które wyciągając z naszych kieszeni, poświęcają na naszą zagładę i zgubę!!

A zachęty do tego nie potrzebujemy szukać zbyt daleko — bo oprócz braci naszych w Galicyi, którzy przy patronacie Kółek rolniczych od kilkunastu lat z nader pomyślnym rezultatem pozakładali banki i towarzystwa handlowe i spożywcze — mamy w sąsiednich Prusach w małem miasteczku Brusy znakomity przykład, co w tym względzie gorliwość nawet jednego obywatela, jakim okazał się tam przezacny ks. Rolt, dokazać może.

W Galicyi już od 26 lat zaczęto pracować w tym kierunku i zakładano banki pożyczkowe i stowarzyszenia wytwórcze i handlowe, jakie my tu proponujemy. Towarzystw zaliczkowych czyli kredytowych było pod koniec r. 1899 657 z 387,769 członkami, którzy mieli 207 43 273 koron udziału, a 123,537,469 koron obrotu ogólnego. Stowarzyszeń zaś wytwórczych i handlowych było 169 i miały w tymże czasie 9833 członków, 3,148,866 koron udziałów i 9,562,380 koron ogólnego obrotu.

Bliżej nas położone spożywcze towarzystwo pod nazwą, kupiec — Consumverein — w Prusach założone zostało przed trzema laty i miało

	w r. 1898 3/3.— 30/6	1899	1900	
Członków	359	1801	2660	
Udziałow	32 500	95664	214519	m.
Towarów na składzie	36879	100964	252310	„
Funduszu rezerw.	1133	2188	4864 i 11113 specyalnej rezerwy.	„
Obrotu ogólnego	100923	164118	388378	„
Zysku	2173	17491	32504	„

W pierwszym roku mieli jeden, dzisiaj już trzy otwarte handle.

Jest to więc bardzo dodatni i naśladowania godny przykład.

Nie ociągajmy się zatem, bo to co działać mogą bracia nasi w Galicyi i my dokazać możemy, a dzieło dobroczynne, którego dokonały Brusy i najbliższa okolica, podjęte i rozszerzone na cały ogół społeczeństwa wyrośnie na wspaniałe drzewo, wydające orzeźwiający pokarm, bogactwo i chlubę narodu!

Na zakończenie jedną jeszcze uwagę zrobić sobie pozwolę. Przeciwnikami zakładania i zorganizowania handlu ludowego są często sami kupcy polscy, twierdząc, że wyrośnie przez to dla nich nowa konkurencya. Lecz jak bezpodstawnem jest zdanie podobne, dowodzi najlepiej fakt, że lud zaspokaja potrzeby swoje prawie wyłącznie u obcoplemieńców. Zakładanie zatem handli ludowych nie tylko nie zrobi kupcom naszym większej konkurencyi, ale otworzy nowe, obszerne pole zarobkowania, a zmniejszy konkurencyą w dotychczasowych branżach. Kupcem, któryby po większych miastach prowadził jak należy handel ludowy, czy to w materyach na ubrania, czy w gotowej garderobie, czy handlu mebli, żelaznym, kolonialnym czy spożywczym, nie powinien być pierwszy lepszy lajek, lecz znający swą branżę i rutynowany kupiec.

Handle zatem takie nie wytworzą konkurencyi naszym kupcom, których w tych branżach nie ma, lecz otworzą im, jak się wyżej powiedziało nowe i obfite pole zarobkowania. Handelki zaś po mniejszych miastach i po wsiach większych powinny być odbiorcami tychże kupców i mogą nastręczyć pracy i zarobku tysiącom rodzin, które najserdeczniejsi nasi wypierają z wszelkich innych stanowisk. Wszyscy zaś razem tak kupcy po większych jak po mniejszych miastach i wsiach powinni być członkami wielkiego tego magazynu, czyli towarzystwa akcyjnego.

Włościanie nasi skarżą się często, że nie wiedzą co począć z dziećmi, którym, nie chcąc drobnić zbytnio gospodarstwa, ziemi oddać nie mogą. Tacy synowie włościańscy, którzy cząstkę swego majątku odbierają zazwyczaj w gotówce, byliby, nabywszy przez powstać mające kursa handlowe potrzebnych im wiadomości — znakomitym materyałem na kupców po mniejszych miastach i wsiach. Mając zazwyczaj odpowiedni kapitał, znając najlepiej zwyczaje i potrzeby ludu, umiejąc się z nim najlepiej obchodzić, mieliby niewątpliwie zapewniony byt i powodzenie.

Szanownemu Patronowi i presesowi Kółek rólniczych, polecamy zatem myśl tę pod łaskawą rozwagę i prosimy o jej poparcie.

Rączo zatem do dzieła!

Przejrzyjmy nareszcie gdzie leży najpewniejsza obrona zagrożonego bytu narodowego — zabierzmy się z miłością i energią do naprawy winy ojców — zbratajmy się więcej z poczciwym ludem naszym i wyzyskajmy tak obfite źródło bogactwa narodowego spoczywające w nas samych! *W. Wąsowicz.*

Na przesilenie wiosny.

Po niebie gna tumany chmur
Szalony wicher marcowy,
Rozdziera strój, na szczytach gór,
Twój zimo, strój lodowy.

W tych kłębach chmur, co błyskawicą
Czerwone, gromem biją,
Zawitaj nam dziewico,
Zawitaj nam Maryo!

Strwożonym może, że w granice burz
Twe państwo już się rodzi,
Że w grozie tej jest pączek róż!
Lecz matko, świeć tej łodzi.

Bo z mórz się szałem grzmiącym łamie;
O Gwiazdo mórz ty święta!
Wierzącej daj twe ramię
Niech płynie łódź nie tknięta.

W dolinach kwiat zbudzonych drzew
Na wpół wygląda z pąków,
I po nad nią zielony siew,
Wzlatuje rój skowronków.

O Maryo, Ty Miłości zdroju!
Rólnika spełń nadzieję,
Niech twoje nań w pokoju,
Błogosławieństwo wieje!

I ptaszkom daj na gniazdo cień
W rozkwitłem państwie lasu;
I ludziom daj miłości dzień,
I rozkosz daj wywczasu.

Gdy przyjdzie maj, krynico łaski!
Cór ziem przyjmij wieńce:
Ty w cnót je ubierz blaski,
Ty daj mu oblubieńce.

Dla wielu wiesz, że wicher ten
Jest innej wiosny zwiastun,
Że kości ich na wieczny sen,
Grób zimny weźmie piastun.

Pocieszycielko konających
Maryo Matko święta,
Z dusz w Ciebie ufających,
Zdejm ciała ziemskie pęta.

I ucho daj modlitwom łez
Na mogił smutnem polu,
W twą pieczę weź mirt, lilię, bez,
Posadzon ręką bolu:

Siej Maryo Matko Boleści,
Na groby zapomniane,
Lub skryte gdzieś bez wieści —
Podarki twe wiośniane.

Karol Brzozowski.

Stanisław Żółkiewski.

(Herbu Lubicz)

Hetman i kanclerz wielki koronny.

(Do illustracyi albumowej.)

Hetman Żółkiewski jest jedną z najpiękniejszych postaci w dziejach narodowych. Na wielorakiem polu zasłużony Ojczyźnie, od młodości albowiem chowany w obozach, niedziw, że wsławił się orężem. Hetmańska to rzecz bić się i głową nałożyć tam, gdzie każe powinność; ale w Żółkiewskim miała jeszcze Rzeczpospolita mądrego senatora, który ukochawszy swój naród sercem i duszą, bezustannie się troskał myślą o przyszłość, dlatego podawał zbawienne rady, bolał nad nierządem i nieszczęściami kraju, dlatego pragnął wszelkie zło od niego odwrócić. Miała Polska dużo hetmanów dzielnych i walecznych, którzy nie pytali nigdy, gdzie nieprzyjaciel i jaka jego siła; lecz mężni w boju, nie zawsze godzili się do rady, dlatego też czasami narażali Ojczyznę, lub stawali się narzędziem wichrzących stronnictw. Ale Żółkiewski jedno tylko widział przed sobą, to jest



Na starą nutę.

świętą powinność obywatela, i rozumiał ją po polsku i po chrześciańsku. Poświęcenie się w nim dla powinności było bez granic, dlatego śmiało prawdę mówił; kiedy zaś mu walczyć kazali, a to się nie zgadzało z jego przekonaniem, wprzódy wszelkich możebnych używał sposobów, żeby burzę odwrócić i dobrze przez to usłużyć Ojczyźnie. Gdy nie przekonał, szedł i walczył, i krew swoją przelewał i siwą wreszcie nałożył głową. Był to człowiek wielkiego rozumu i w dobrej szkole wychowany, ważył na jednej szali czyny i skutki, a wielki swoją miłością, był to jak kapłan w hetmanie.

Urodził się na Czerwonej Rusi, na tej ziemi, która nam tylu wydała bohaterów. Ojcem jego był Stanisław, wojewoda ruski, dawny przyjaciel Zamojskiego, co i synowi pierwsze kroki ułatwiało na świecie. Wiadoma rzecz, jak ściśle byli król Stefan z Zamojskim, jak szerokie zakreślali plany względem przyszłości. Żółkiewskiego pokochał tak król Stefan, że go nawet do swoich tajemnic przypuścił. Pięknie mu też bo się zalecił w sławnej wojnie gdańskiej, którą na wstępie swego panowania musiał toczyć Batory; potem zacność serca i niepospolita nauka, a wreszcie przyjaźń z Zamojskim niepospolicie króla do niego przywiązały.

Jednakże zawód publiczny, który go dał poznać Ojczyźnie, zaczął się dopiero za panowania Zygmunta III. Kiedy w bezkrólewiu szlachta szarpała Zamojskiego, zmyślając na niego zarzuty, Żółkiewski wszędzie go bronił, czy we Lwowie, czy w Warszawie, bo był przekonany o czystości zamiarów kanclerza. Raz nawet o to przed Zborowskiemi musiał się cofać z sejmu. — Towarzyszył nieodstępnie Zamojskiemu w jego wojnie z arcyksięciem; pod Byczyną odznaczył się dzielnością, i wtedy otrzymał postrzał w prawe kolano, z którego to powodu chromał już przez całe życie. Potem dostał wkrótce kasztelanię lwowską w roku 1593, a miał już poprzednio buławę polną koronną.

Tylko mu ciężko było z Zygmuntem III. — Młody król nie słuchał rady doświadczonych ludzi, a zacnych, którzy wszystko dla ojczyzny gotowi byli poświęcić, i chętniej wierzył tym, którzy my pochlebiali, jako zwyczajni dworacy. Dlatego bardzo prędko król poznał się na nim, i nie wiele miał do niego serca, czem się jednak hetman nie zraził, bo widział, że taki los spotkał i Zamojskiego. — Zaczynały się w Polsce bunty kozackie. Wołał hetman, żeby wychodzić otwarcie, a szlachetnie z tym ludem ruskim, który był taką podporą Rzeczypospolitej; król zaś mu kazał iść na Ukrainę uśmierzać bunty Nalewajki, i krwią polewać ziemię narodową. Gdy agodnością i wyrozumi a-łością odwrócił Żółkiewski burzę, powstały zaraz krzyki na niego, że schlebia namiętnościom ludu, choć Bogiem a prawdą powiedziawszy, ciężka to była ta sprawa kozacka. Król Stefan uorganizował Ruś w porządne wojsko, i tem samem zbudził potężną, a drzemiącą dotąd w Rzeczypospolitej narodowość, która się już zupełnie z losem swym godziła, prawdą i wiarą służyła serdecznie Rzeczypospolitej. Król Stefan jednak, groźbą własnego ramienia powstrzymywał w karbach powinności wszelkie wyskoki rycerskiej odwagi hajdamactwa; ależ dzielny król umarł i dzieło jego, któreby mogło wyjść Rzeczypospolitej na pożytek i chlubę, zaczęło się psować w rękach niezdolnych, w głowach źle uprzedzonych. Minęły już czasy, kiedy hetmanowi kozackiemu Podkowie, ucięto za to głowę, że sam, bez pozwolenia królewskiego, wkroczył do Wołoszczyzny; za Zygmunta III, kozacy zaporożcy zaczęli coraz więcej sobie pozwalać, i nie pytając się nikogo, w czajkach lotnych, jak ptaki, spuszczali się w dół Dnieprem na morze Czarne do Krymu; napastowali wszystkie nadbrzeża, palili Synopę i Trebizondę, a nawet, kiedy hulacka przyszła im fantazya, odważali się na niesłychanie zuchwałe przedsięwzięcie, bo wpadali do Stambułu, i przerażenie roznosili aż pod bramy seraju. Król Zygmunt nie miał tej siły ducha co król Stefan, więc nie umiał poskromić kozaków, a to dawało powód do ogromnych na Rzeczpospolitę utyskiwań ze strony Porty Ottomańskiej. Turcya za każdą taką napaścią kozacką, groziła Rzeczypospolitej srogą wojną, a nie można tak bardzo było poniewierać gniewem sułtana, bo Turcya ówczesna to nie dzisiejsza; stała wtedy na szczycie swojej potęgi i sławy.

Kiedy sejm, król i hetmanowie mocno wdawali się, żeby poskromić tę rycerskość Zaporoża, lud ukraiński w tem widział nastawanie jakieś na swoje prawa i narodowość, co w gruncie rzeczy było tylko powinnością stanu. Od mądrości króla zależało pogodzić jedno i drugie, ale Zygmunt III był bardzo nietrafny w wyborze środków, a miał swoje własne wyrachowania i widoki, które nie bardzo odpowiadały oczekiwaniom

narodu. Zamiast ukazać powagę tronu, Zygmunt się wdawał w rokowania i w traktaty, zamiast łagodzić namiętności i przemawiać do uczuć zdrowych, Zygmunt drażnił. Unia religijna, która w tym czasie stanęła w Brześciu, wrzuciła nowy materyał palny w łono narodu, a książe Konstanty Ostrogski, któremu we wszystkiem przewodzić się chciało, korzystał dobrze z tego usposobienia chwili, i pobudzając do buntu, siał przyszłe nasiona hajdamaczyzny i koliszczyzny, jednem słowem buntów ukraińskich.

Istniała jeszcze inna sprawa paląca, gwałtowna, niecierpliwa, w której Żółkiewski napróżno głos swój podnosił. Była to sprawa księztw naddunajskich, czyli jak je dziś nazywają rumuńskich, tj. Multan i Wołoszczyzny. Oddawna te dwie krainy hołdowały Polsce, ale ze wzrostem potęgi tureckiej w Europie, sięgał do nich wpływ sułtana. Księztwa położone między młotem a kowadłem, często się naginały to ku tej, to ku owej stronie, jak im kazały czasy i okoliczności. Rzeczpospolita utrzymując swoją powagę, nieraz z orężem w ręku prowadziła tam hospodarów, nawet jeszcze Zamojski do Wołoch odbywał swoje wyprawy. W owym czasie na jednym z tronów rumuńskich siedziała dynastya Mohiłów, dobrze zasłużona Polsce, a nawet związkami pokrewieństwa związana z wielą domami polskiemi. Domy te szczycąc się oczywiście z takich świetnych związków, raz wraz wdawały się w sprawy wewnętrzne księztw, co znowu niesłychanie gniewało Turcyą, którą nie mając nic przeciwko temu, żeby tam polscy hołdownicy władali, nie lubiła mięszania się w te sprawy szlachty.

Wreszcie tem się skończyło, że Mohiłowie ustąpić musieli, a w Bukareszcie i Jassach zasiedli intryganci, którzy hojniej od innych opłacali się Dywanowi. Otóż jeden za drugim panowie polscy, spokrewnieni z Mohiłami, odbywali formalne krzyżowe wyprawy do księztw, przeciwko Turkom. Ale kiedy w kozackich wyprawach na morze Czarne i pod Carogród, brały rzeczywiście udział, silna nienawiść narodowa i miłość dla krzyża przeciw pogaństwu, tutaj w wyprawach polskich na Wołoszczyznę grała rolę czysta prywata. Gdyby Rzeczpospolita prowadziła Mohiłów do księztw, byłoby w tem utrzymanie jakiejś zasady, jakaś systematyczna walka chrześcijaństwa przeciw pogaństwu, ale gdy panowie ich prowadzili, toć im o nic innego iść nie mogło, jak tylko o blask rodzinny, o chlubę, że mają krewnych panujących na tronach, choćby naddunajskich. Turcyę zaś to niezmiernie gniewało, bo kiedy Rzeczpospolita milczała, jakież mieli prawo zrywać pokój panowie i działać na własną rękę? Ale to podobno i panom samym tronu się chciało; dynastya Mohiłów nie była rozrodzona, więc swawolnemi wyprawami przypominało się wciąż poddanym księztw jakieś prawa dziedzictwa, które, Bogiem a prawdą powiedziawszy, zależały głównie od łaski sułtańskiej. Nareszcie panowie ci, odbywając wyprawy do Wołoch, wypędzali z księztw hołdowników tureckich i chcieli stanowić, jakby osobne państwa, czego naturalnie Turcya znosić nie mogła.



Ostatnia pamiątka.

Żółkiewski przewidywał z tego powodu ogromne nieszczęścia w przyszłości. Każda wyprawa czy Potockich, czy Koreckich, bolała jego zacne serce; perswadował, tłómaczył, napominał, chciał ukrócić pańską swawolę, ale Zygmunt nie miał na to ani taktu. Zanim więc katastrofa spadła, działo się wszystko po dawnemu, a w klęskach, jakie ponosiły wyprawy, była niejako przepowiednia ciężkiej przyszłości Rzeczypospolitej. Przeklinała raz cała Polska szaleństwo Stefana Potockiego, co nazbierawszy młodzieży ze szkół, z domów rodzicielskich, wywiódł ją w pole i na mięsne wystawił jatki. Głos żałoby i rozpaczy był wtedy powszechny. Młodzież ginęła bez żadnej korzyści dla Ojczyzny. Inni dowódcy nierozważnych wypraw, jak książe Korecki, ginęli okrutną śmiercią na hakach w Carogrodzie, a jeszcze nic to nie wstrzymywało rezolutnej fantazyi.

Tymczasem dojrzewała i wojna moskiewska, podniesiona z powodu Dymitra Samozwańca. Żółkiewski odradzał królowi tę wojnę wszelkiemi sposobami, bo ciągły niepokój od Szwecyi, wyprężone strasznie stosunki z Turcyą z powodu Multan i kozaków, wskazywały mu, że gdzieindziej leży niebezpieczeństwo, i że szukać nowych nieprzyjaciół ani się godzi. Ale przegrał jeszcze raz sprawę, jak zawsze w ciągu swego życia, pełnego najboleśniejszych zawodów. Kiedy się królowi gwałtownie iść zachciało na zdobycie nowych tronów, hetman odradzał mu listownie

wy prawę w mocnych wyrazach, które

płynęły mu z serca, a były pełne żalu i wyrzutu. Jeszcze się Rzeczpospolita nie ukoiła po rokoszu, a tutaj nowe niebezpieczeństwa i walki. Potęga moskiewska jest straszna, po co budzić nieprzyjaciela? Nie łudził się hetman wielkiemi nadziejami, a jak nie pochwalał swawoli w Wołoszczyźnie, tak nie mógł chwalić swawoli Mniszchów, którym się także chciało tronu; Różyńskich i Sapiehów, którym się chciało sławy i łupu. Lecz mimo to, zawołali go; skłonił posłuszną głowę, i poszedł pod Smoleńsk. I tam cierniową wycierpiał koronę.

W obozie wszystko się działo podług woli Potockich; staremu hetmanowi ubliżało, żeby mu się tam kto plątał w rządy wojskowe. Przychodziły wieści do obozu, że w Moskwie radziby na tron królewicza Władysława, hetman przekonywał więc króla, że najprędzej skończy wojnę, kiedy pójdzie prosto do celu, i chciał, żeby wojsko ruszyło pod Moskwę. Tymczasem Smoleńsk tylko co cię nie poddawał. Potcocy nie chcieli tracić sławy, i kiedy hetman nastawał na swoje, wyprawili go z garstką ludzi pod stolicę. Kto inny zginąłby wśród takiego niebezpieczeństwa, mając na około siebie nieprzyjaciół i w kraju obcym i między rodakami. Hetman się poświęcił i śmiało poszedł naprzód.

Ledwo uszedł mil kilkanaście, pod Carowem Zajmiszczem spotkał nieprzyjaciela i dowiedział się, że brat cara Szujskiego nadciąga z ogromnemi siłami. Zostawił straż małą w obozie, a sam na całą noc ruszył naprzód nie tracąc chwili. Z garstką ludzi otrzymał świetne zwycięztwo pod Kluszynem, i zbliżył się zaraz potem do Moskwy, która już się widocznie kłoniła na stronę Władysława. Układy jakie z tego powodu prowadził z księciem Mścisławskim, wskazują jak wieleby mógł się zasłużyć względem ojczyzny człowiek tak znakomity, gdyby mu wolne zostawiono ręce. Wierny swojej zasadzie, żeby być bezstronnym i wyrozumiałym na wszystko, Żółkiewski pilnował sprawy narodowej, nie ubliżając nikomu, nie zamykając się w ciasnych granicach uprzedzeń i nienawiści. Zrobił więcej jak to królowi nawet mogło się marzyć; ale nikt mu jednak za to nie podziękował, owszem obmowami i wyrzutami szarpano hetmana. Rzecz dziwna, u swoich nie znalazł nigdy miru, a obcy go zawsze najwyższym otaczali szacunkiem. Jak na Ukrainie z kozakami był dobrze, tak tutaj w Moskwie z naczelnikami narodu, który Władysława okrzykiwał carem; jako to z patryarchą, z kniaziami i z bojarami. Układając się z niemi, wciąż wołał na króla, żeby pośpieszał i ostrzegał zawczasu, że cierpliwość narodowa ma swoje granice, ale Zygmuntowi, któremu podobno nie chciało się owego zwycięztwa miłości i dobrej wiary, nie było na rękę wołanie hetmańskie; grymasił, ociągał się, wbrew układom wydawał rozkazy; aż wreszcie przeważyła się szala i Żółkiewski z bólem w sercu widząc, że już mu nie staje sposobów do wytłómaczenia niechęci królewskiej, pożegnał stolicę, w której siłą rozumu, krwią zimną i poświęceniem się, udało mu się zyskać jeden z najświetniejszych tryumfów, jakie zdobią historyę panowania niedołężnego Zygmunta.

Wrócił więc znowu na tureckie granice, zkąd go wrzawa wojenna zapędziła na północ, i czuwał już tutaj bezustannie na kresach. — Wolał w boju z Turkami zagłuszyć w sobie trwogę serdeczną, jaką miał o przyszłość ojczyzny. Nie chciał dawniej patrzeć na swawole panów, a teraz suto przyszło nałożyć głową staremu. Było to już ze strony Żółkiewskiego ostatnie poświęcenie się dla ojczyzny, ostatnia za jej przyszłość orężna modlitwa. Czuł to, że żywym nie wyjdzie z tych zapasów, które już starzec, rozpoczynał na nowo. Spisał testament, gdzie zawarł ostatnie swoje westchnienie dla spraw doczesnych i ludzi krwią z sobą powiązanych. Już to od lat kilkunastu, hetman co rok spisywał taki testament i co rok go zmieniał i poprawiał, dziękując Bogu za życie, ale się nie cofając przed śmiercią.

Na granicach tureckich nie ustawała wojna, Naparty raz hetman, sam, bez rozkazu, zawarł traktat pod Buszą w r. 1617, na mocy którego zobowiązał się za Rzeczpospolitę powściągnąć łotrostwa kozackie, a zrzekał się na wszystkie czasy wszelkich pretensyi do Multan i Wołoszczyzny. Wielkie oburzenie zawrzało po całym kraju. Zapomniano Żółkiewskiemu wszystkich zasług, szlachta wołała po sejmikach, czemu hetman bitwy nie stoczył. Nie stoczył — bo jedna przegrana mogła narazić los rodzinnego kraju; bo Rzeczpospolita była bez obrony, z Zygmuntem III i z nieładem; bo wpływu swego w księztwach nie mogła utrzymać; bo król zamiast uspokajać ojczyznę, rozpoczynał na nowo wojnę z potężnym sąsiadem o koronę moskiewską; bo hetmana sił pozbawił, kiedy jego pułkom kazał iść w północ daleką; bo pospolite ruszenie, jakie sejm pozwolił zwoływać hetmanowi na obronę ziem ruskich, tylko niesforne roty ciurów ściągało do obozu. Hetman nie winien, że nie mógł; nieszczęściu temu



Walka kozłów w Tatrach.

była winna swawola panów, niedołęztwo Zygmunta III.

Hetman przemógł niechętnych i wygrał sprawę. Traktaty pod Buszą zatwierdzono, a starzec dostał pieczęć wielką koronną, chociaż o nią nie prosił. Owszem nowa to była dla serca jego boleść, gdy widział, że król rozdawał urzędy dla honoru, bo Żółkiewskiemu życie miało upływać wśród obozów, nie w kancelaryi. Stało się to w r. 1618.

Prosił, żeby król odjął mu urząd hetmański: „dostąpiłem go nie dla zasług, nie przez ambicyę, lecz jedynie z łaski króla mojego, dziś gdy dla zawiści i obmowy już go dłużej godnie sprawować nie mogę, w te ręce, które mi go dały, składam pokornie“.

A na to podkanclerzy od tronu prosił go, żeby dalej pozostał na urzędzie; prymas, senatorowie upraszali, i Żółkiewski wyszedł ostatni raz z koła sejmowego zwycięzcą.

Ostatni raz, powiadamy, bo dopełnił nareszcie największej powinności, i legł na cecorskiem polu. Otoczyły go nieprzebrane tłumy pohańców; walczył krok za krokiem, dzień za dniem, cofając się na Ruś. I tam jeszcze niewdzięczne rycerstwo lub swawolni rotmistrze, ostatnie chwile życia zatruwali starcowi. „Hetman chce uciekać, powiadali, a nas wydać na mięsne jatki“. Hospodar wołoski ukazał wojsku drogę do Prutu, padła też na nie trwoga, tłumnie wychodzili z obozu wśród wieczornego zmierzchu, powstał ścisk, zamięszanie, odmęt; ci konno uciekali, ci pieszo; jeden tonął, drugi ginął od miecza; ciurowie rozbiegli się na rabunek. Samuel Korecki, cały zmoczony, wrócił od Prutu, i kiedy hetmanowi wyrzucał, że był przyczyną trwogi, odparł mu spokojnie Żółkiewski: „Ja tu stoję, a woda ze mnie nie ciecze“.

W kilka dni potem, już widać było ziemie polską od Mohilowa, kiedy chmara dziczy nasiadła na wojsko. Hetman widząc, że wszystko stracone, uścisnął dłoń syna i wziął od spowiednika rozgrzeszenie. Z bronią w ręku poległ. Pełno miał ran po ciele; głowę jego turek zatknął na spisę i poniósł do Iskandera. Obnoszono ją po obozie, w końcu sułtan kazał ją zatknąć na bramie seraju. Co uszło miecza, poszło w niewolę, a między innemi syn hetmański i zięć jego Koniecpolski.

A. H.



Pożar w stajni.

Dziaduś.

Kibitki stają przed dworem,
We dworze światła goreją;
Tam stary dziaduś wieczorem
Dziatwie i wnukom koleją
O bojach za Polskę prawi,
I przyszłość ich błogosławi.

„Służcie Ojczyźnie!“ — tak woła —
„Zgubion kto Polsce nie służy.
„Ani przy śmierci anioła,
„Ni ciszy serca wśród burzy
„Nie będzie dusza mieć taka,
„Hańbiąca imię Polaka.

. . . .

„Nikczemni tylko znikają,
„Pan bliski ze zmiłowaniem,
„Gdy serca w dzielność wzrastają —
„Służcie Ojczyźnie wytrwale“ —
W tem we drzwiach stają Moskale.

Przelękła wnucząt gromada
Do dziadka ciśnie się drżąca;
Jak kłosie do nóg mu pada,
W oczy się patrzy milcząca;
Jęknąć słóweczko się boi —
Moskale stoją — dziad stoi.

„Matieżnik!“ — sprawnik w tem rzecze —
„Na ciebie Sybir jest w prawie.
„Tyś krzyż postawił człowiecze
„Za postrzelanych w Warszawie —
„Ty kochasz plemię to wraże.....
„Car w Sybir odwieść cię każe“.

I skinął, by mu okuli
Łańcuchem ręce i nogi.
Do dziadka dziatwa się tuli,
Mimo żołdaków batogi:
„O dziadku“ — woła ze łzami,
„O! broń się! pozostań z nami!“

„Bóg z wami!“ dziaduś odpowie —
„Ojczyźnie służcie wytrwale!
„Ja na Sybirskie pustkowie
„Gdzieś kości moje powalę,
„Lecz duch mój będzie nad wami
„W niebiosach między gwiazdami!“

Mieczysław Romanowski.

Na życie i śmierć.

Ucieczka z Syberyi.

(Do illustracyi).

Tysiące pochłonął ofiar, tysiącom złamał serce; milionom wycisnął łez



Ucieczka z Syberyi.

strumienie; grubą żałobą pokrył kraj cały, a wnukom i prawnukom jego straszliwe przekazał pieśni.

Któżby z nas Polaków nie znał tego żarłocznego potwora, tego kraju grozy, prawie przez rok cały śniegiem i lodem pokrytego, któżby nie znał Syberyi, opisanej przez mistrzów pióra?

Weź, polski czytelniku, najnowsze obrazy, naszkicowane dłonią Adama Szymańskiego, a poznasz i odczujesz te ponure olbrzymie przestrzenie pomiędzy Tobolskiem, Irkuckiem, Ochockiem a Kamczatką.

Jeżeli chciwy wiedzy wędrowcze zdołasz się wydobyć z tej krainy śmierci i nieznanych mogił i dotrzeć do południowych jej krańców a wejdziesz do kraju, gdzie słońce prawie tropikowe bujną wywołuje wegetacyę i rodzi płody ziemi, przypominające nam okolice uroczego Neapolu, greckiego Solunia (Salonika) lub południowego Kaukazu.

Ale i ta bogata i piękna kraina syberyjska nie zdoła nigdy wyprzeć z duszy skazańców wrodzonej do kraju ojczystego tęsknoty i żądzy wolności.

To też od niepamiętnych czasów były pomiędzy posieleńcami sybiryjskimi szczęśliwe jednostki, o których pisze Maurycy Beniowski, unieśmiertelniony piórem wieszcza Juliusza Słowackiego, lub Rufina Piotrowskiego, autora własnych jego dziejów i mieszkańca Syberyi, że byłyto jednostki potężne siłą ducha, które wolały uśpić czujność swych stróżów Argusowych, potargać więzy niewolnicze — i ujść z tego Dantejskiego piekła.

Podana illustracya przedstawia nam żywo przed oczy jednę z tych ucieczek z Syberyi południowej, ucieczek przejmujących tem większą grozą duszę ludzką, że patrzący na ten obraz pozostaje we wątpliwości, czy śmiały jeździec zdoła uniknąć pogoni i uzyskać tak gorąco pożądaną wolność.

Rumak jego daleki już musiał poza sobą step pozostawić, gdyż ostatnie siły wytęża, ażeby przesadzić w szalonym skoku tamującą bieg jego przeszkodę, może rzucić się z skalistego brzegu w szparko płynący strumień, ażeby ocalić swego pana przed pogonią. A jeździec widzi grożące mu niebezpieczeństwo; włos jego bujny staje mu dębem na głowie; oczy jego pełne trwogi, stanowczości i męstwa ducha; silną dłonią usiłuje powstrzymać rozpęd szlachetnego zwierzęcia.

Chwila to wielce tragiczna, wzruszająca do głębi duszę widza, uplastyczniony to straszliwy dramat, godny pióra Sofoklesa i Szekspira.

L. G.

DOLA.

(Waryant z pieśni litewskiej).

W oczach ciemno, serce boli,
I zapłakać chce się!
Pójdę hukać, lepszej doli
Wywoływać w lesie.

Przyjmiem chlebem, przyjmiem solą
W szczerej uprzejmości:
Odezwij się lepsza dolo,
I przyjdź do nas w gości!

Między wzgórki między drzewa
Wołam w leśnej ciszy;
Ale słowa wiatr odwiewa,
Dola nie usłyszy!

Piosnko moja! ej nie tobie
Przebić wicher burzy!
Wracaj jęczeć sama w sobie,
Kędy serce wtórzy.

W. Syrokomla.

Popiel, którego myszy zjadły.

(Do illustracyi).

Rzuć tylko okiem na straszne mogiły,
Jeśliś Kruświckich okolic świadomy;
Tam potężnego zbyt nieprzyjaciela,
Zagryzły myszy księcia Popiela.
Krasicki.

Kromer, najcelniejszy wieku 16-go historyk dokładnie opisuje nam to bajeczne zdarzenie. Trudno co przydać, albo ująć; i dlatego opis ten z pięknego przekładu Błażejewskiego w całości umieszczamy: „Po pogrzebie Popiela starszego, gnuśnego, nikczemnego księcia, wybran na jego miejsce syn jego Popiel II, którego na większą wzgardę Chwostkiem zwano, a to od brody i włosów na głowie rzadkich, co znaczy rozpustnego. Gdy począł dorastać (a ten wiek jest najniestateczniejszy, i do wszelakiej rozkoszy najpochopniejszy) zaraz na swem zdaniu polegając, napominania stryjów odrzucał; od równych sobie porady zasięgał, na bankietach i pijaństwie z nimi zasiadał, na nierządach, tańcach, grach, zalotach nocy trawił; zaczem pijaństwa i nierządy pełen, do południa sypiał, zaniedbując sądów i skarg ludzi ubogich. Ztąd też od wszystkich lekce był ważony. Stryjowie jego chcąc powściągnąć jego żądze, zniosłszy się z inszymi pany, dali mu za małżonkę dziewkę wybornej piękności, księcia niemieckiego córkę: lecz na nieszczęście trafili na

łakomą i nadętą niewiastę: nie tylko bowiem Popiel łotrowstwa i swywoli dawniej nie poprzestał, ale przy żonie do nowych nawykł niecnót, których dawniej nie znał: gdyż łakomszym stawszy się, wyroki, godności, urzędy przedawał. A iż cnotą i godnością nie mógł, poczuwając się do wielkich grzechów, nadętością a srogością panowanie swe umacniał: zaczem obawiać się poddanych musiał; ponieważ u nich miłości nie zasłużył. A to wszystko za powodem i sprawą żony swojej czynił, która zakosztowawszy raz słodyczy panowania, a pogodziwszy nikczemnością męża swego, wszystkę władzę chytrością białogłowską sobie przywłaszczała, i wieczne a gruntowne rządy swoje być rozumiała. Jedna rzecz stała na przeszkodzie: obawiała się stryjów. Przetoż jako mogąc wprawiała ich przed mężem w podejrzenie, twierdząc, iż za żywota ich pewnego i gruntownego nie będzie mógł zażyć panowania. Taką mową snadnie błahy i lękliwy umysł mężowski na swą stronę przeciągała. Wynajdują sposób zabicia ich: ciężką zatem i niebezpieczną chorobę zmyśla sobie książę: żona rozkazuje imieniem jego, przywołać stryjów, na śmierć przeznaczonych. Ci zjeżdżają się bez omieszkania: obstępują smętni w koło chorego pana, żałują go i cieszą. On wielkość choroby stękaniem wymyśla, kres ostatni żywota swego od Boga być sobie objawiony powiada, żonę swą i potomstwo małe opiece i wierze ich raz i długi porucza. Napełnia się niewieściem łkaniem, płaczem i narzekaniem dwór książęcy: do pogrzebu należące przygotowania czynią, za rozkazaniem samegoż książęcia. Tak na tem dzień strawiwszy, gdy słońce do zachodu spieszyło, książę jakoby już konający żegnając się z niemi, każdego imieniem własnem pochlebnie nazywa; a na znak miłości i swojej przeciwko nim dobrej woli, przynieść trunek na strucie ich przyprawiony rozkazuje. Sam najprzód wrzekomo kosztuje, a istotnie napoju samego i krajem ust nie tykając się. Gdy tak owym napojem koleją się obeszli, zmyśla ów, jakoby go sen morzył, a spokojności potrzebować miał. Odchodzą oni uczciwie pożegnawszy Pana; a wkrótce wewnątrz rozgrzana trucizna, członki wszystkie zejmuje: natychmiast od rozumu odpadli; zaczem szalejąc, z wielkiem bardzo dręczeniem umierają. O czem ona, będąc od swych obwieszczona szpiegów, niezagrzebione trupy powyrzucać kazała, udając to i rozsławiając, że ich na zdrowie potrzebnego i bardzo zasłużonego książęcia czyhających, jawną i sprawiedliwą pomstą bogowie dotknąwszy, nagłą śmiercią pokarali.

Lecz nie da się bez pomsty Bóg złościom rozwodzić
Umie on i na chromym niecnoty dochodzić.



Popiel, którego myszy zjadły.

Z trupów albowiem zbutwiałych wylęgły się niezwyczajnej wielkości myszy, bezbożnego mężobójcę z niecnotliwą niewiastą i potomstwem jego, gdziekolwiek uciekał, i przez wody i przez ognie ścigają: nic zamknięcia, nic oręże, nic nie pomagają odpędzającej czeladzi orszaki. Nakoniec, gdy się czeladź rozbiegła, najprzód syny, potem żonę pojadłszy, naostatek samego nędznika powoli szczypiąc, pożarły r. 841 na zamku kruszwickim, albo jak drudzy chcą na wieży w jeziorze Gople, dokąd był uciekł".

Nie tylko w Polsce, ale i w Niemczech o niejakim Hattonie najprzód opacie Fuldeńskim, a potem arcybiskupie moguncki podobne utrzymują się pomiędzy ludem powieści następującej osnowy:

Hatto skąpy i nieużyty prałat, hojniejszym był w rozdawaniu błogosławieństwa aniżeli jałmużny. Zdarzyło się, że nad Renem wielki głód powstał, i wiele ludzi nędznie umierało. Zgłodniałe ubóstwo obległo pałac bogatego biskupa, żebrząc chleba. Lecz on nielitościwy lubo miał pełne zboża spichlerze, i żył w największych dostatkach, nie tylko, że im nic niedał, ale co boleśniejsza, przykremi słowy karcił zgłodniałe tłumy, wyrzucając im lenistwo. Żebracy powtórzyli swe prośby. Hatto tą ich natarczywością oburzony, kazał ich wszystkich sługom swoim pochwytać, po większej części starce, niewiasty i dzieci, i zamknąć do stodoły, a potem tę stodołę zapalić. Okropny to był widok, zdolny wzruszyć nieczułe nawet głazy: lecz twardy biskup nie czuł najmniejszej nawet litości, i owszem szydząc z tych nieszczęśliwych ofiar, rzekł: „Czy nie słyszycie, jak to myszy piszczą?" Po spełnieniu tak okropnej zbrodni, sprawiedliwe nieba taką na Hattona zesłały karę: niespodzianie zjawiło się w zamku niezliczone mnóstwo myszy: jak gdyby z ziemi wyrastały. Hatto przelękniony uciekł na wieżę, na rzecze Renie przez siebie wybudowaną. Myszy ścigały go wszędzie: przepłynąwszy rzekę i wdrapawszy się na wieżą, najprzód imię jego, na kosztownych szpalerach wyszyte, wygryzły, a potem samego żywo zjadły.

Nic nie pomogła twierdz mocnych obrona
W baszcie na wyspie zagryzły Hattona.
Krasicki.

Duch jego długo jeszcze potem pokazywał się w mgle nad ponurą wieżą.

* * *

Lud prosty skłonny do bajek i zabobonów zapewne z jakiego istotnego zdarzenia tę dziwną o Popielu utworzył powieść: atoli teraz trudno nam jest dojść historycznej prawdy. Do-

myślać się tylko można, że poddani, sprzykrzywszy sobie okrutne gnuśnego Popiela panowanie, bunt podniosłszy, życia i tronu go pozbawili. Być jednak może, że z cudzych kronik bajki te do naszych przyszły, zkąd potem upowszechniły się pomiędzy ludem. Jakożkolwiek bądź, posłużyły one jednemu z najcelniejszych i najdowcipniejszych poetów polskich, Ignacemu Krasickiemu, do napisania pięknego poematu, wyszydzającego wady narodowe, pod tytułem: Myszeis, gdzie cała ta powieść poetycznym ubarwiona stylem.

P. L.

Opisanie dawnej Kruszwicy.

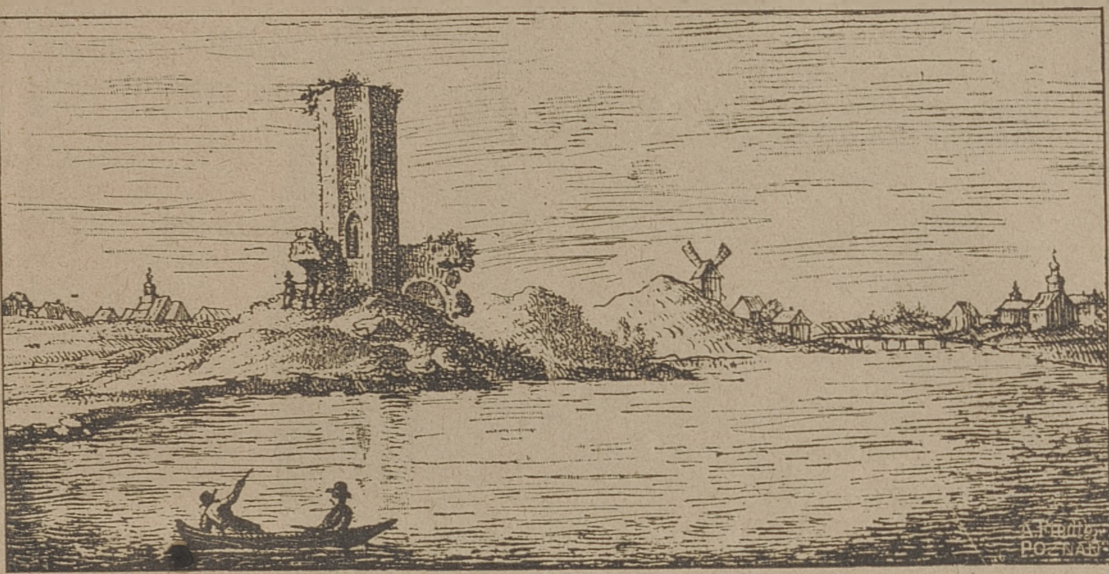
Rozległe pola i zyzne, oblewa
Gopło, jezioro wiekopomnie sławne;
Zdobią go cieniem ponadbrzeżne drzewa,
Brzozy, topole, buki starodawne;
Ptastwo rozliczne tam schronienie miewa,
I echo wrzaskiem sprawuje zabawne:
Doliny, wzgórki zielone i żywe
Miłą patrzącym czynią perspektywę.

Dalej równiny okiem nieprzejrzane
Im rozleglejsze, milej się wydają;
Łąki rozlicznym kwiatem przyodziane;
Własnym się kłosy ciężarem zginają;
Gaiki, jakby umyślnie sadzane,
W chłodzie ich cienia bydlęta igrają:
Pod gęstym krzaczkiem siedząc w miłej [parze,
Hoży pastuszek nuci na fujarze.

Po drugiej stronie jeziora Kruszwica,
Miasto wspaniałe w struktury rozliczne,
Okazałemi gmachami przyświeca:
Wieże się zewsząd wznoszą niebotyczne;
Godna monarchów tak wielkich stolica
Okrasza bardziej te widoki śliczne:
Gdziekolwiek wzroku lot bystry po- [spieszy
Wszędzie się zdziwi, wszędzie się ucieszy.

W środku jeziora natury igrzysko,
A jako stara powieść w kraju głosi,
Czarnoksiężniczej sztuki dziwowisko,
Wyspa ozdobna wspaniale się wznosi,
Na niej twierdz mocnych straszne wido- [wisko,
W szczycie herb kraju, orzeł się unosi,
Tam znane plemię Krakusa i Leszka
Sarmatów książę spoczywa i mieszka.

P. L.



Wieża Popiela w Kruszwicy (podług starego rysunku.)

Wieża Popiela w Kruszwicy.

(Do illustracyi.)

Stały nad Gopłem Słowiany rozliczne;
Długie oszczepy, puklerze staliste,
Zamku Popielów wieże niebotyczne,
Odbijały się o jezioro czyste.

W Kruszwicy w powiecie inowrocławskim w departamencie bydgoskim nad jeziorem Gopłem, jednem z najdawniejszych miast polskich, stoją dotychczas na wyspie ruiny bardzo starożytnej wieży, którą mieszkańcy wieżą Popiela nazywają. Niektórzy uczeni utrzymują, iż niegdyś za latarnią dla żeglujących po tem jeziorze przez Noteć i Wisłę do morza bałtyckiego używaną była. Sama Kruszwica dziś mała mieścina, zaledwie 2200 mieszkańców liczy, trudniących się po większej części rólnictwem. Prócz Krasickiego, o którym wspomnieliśmy wyżej, Bronikowski w romansie „Mysza wieża“ z niemieckiego na polski język przez Królikowskiego przełożonym, romantycznym sposobem miasto to, wieżą i całą okolicę opisał; wolimy jednak przytoczyć miejsce tutaj należące z Myszeidy Krasickiego, jako oryginalnie w polskim języku napisane.

Dzieweczka.

(Z dni mordów warszawskich.)

Od Powązek lud powracał z krzyżem,
Kędy odniósł na spoczynek brata,
I grób darniem obłożył mu świeżem
Za spędzone na Sybirze lata; —
Tam nań śniegi i zamieci wiały,
Tu mieć będzie bluszcz i jasmin biały.

Starcy pacierz szeptali, kobiety
Wiodły dzieci, a młodzież gorąca
Szła dumając: rychło na bagnety
Dadzą hasło?... rychło trąba grzmiąca
W bój powoła? Tak szli ku kolumnie,
A z kolumny Zygmunt patrzał dumnie.

Tu stanęli, a dzieweczki trawę
Rwaną z grobów między lud rozdały
Na pamiątkę krwi, co już w murawę
Porastała. Aniołeczek biały
Jedna klękła złożywszy rączęta,
I poczęła: „Zbaw nas Matko święta!“

Oczętami, co gwiazdkom podobne
Utonęła w niebiosa błękitne.
A lud patrząc na to dziewczę drobne
Kląkł, jak kłosy uklękają żytne,
Gdy zachodni wiatr przeciągnie łanem;
Tak lud ukląkł na rozmowy z Panem.

I rozpoczął pieśń, a Bóg jej słucha;
Carski wódz jej słucha przerażony.
Bóg ludowi łaską krzepi ducha,
A wódz zbrojne stawia bataljony:
„O! nim przebrzmi — rzekł — ta pieśń [złowroga,
Nim Bóg miecz im da, uprzedzę Boga.“

I wnet rzeszę modlącą Moskale
Rotowemi powitali strzały,
Warczą kule, krew jakby korale
Z piersi na bruk rozlewa się biały —
Jedni giną cicho, drugim z łona
Płynie razem pieśń i krew czerwona.

Starców zapał unosi, spokojna
Młodzież śmierci upada w ramiona.
Patrz ty carze, jak rzesza niezbrojna,
Jak w moc Boga wierzący lud kona!...
Ludzie giną, a dzieweczka stoi
Cicha, w jasnej niewinności zbroi.

I na kule czeka, co jej braci
I siostrzyczki porywały w koło.
Wie, że Polsce Bóg jej krew zapłaci!
Więc chce zginąć; a wódz sroży czoło,
Woła gniewny: „Ten lud kul nie czuje —
„Niech go jazda końmi roztratuje!“

Więc konnica na klęczących goni
Rąbie starców głowy, kłuje dzieci,
A dzieweczka śród połysków broni
Stoi, lecz już żołdak na nią leci:
„Jezus, Marya“ krzyknęła i czeka,
Lecz się w konia patrzy, nie w człowieka.

I pewniejsza, że swemi oczyma
Rychlej czucia dopatrzy w zwierzęciu.
Ostrogami party koń się zżyma,
Skacze z jezdzcem w bok, a szabla [w cięciu
W głaz uderza;... z szabli skry czerwone
Nad dzieweczką zbiegły się w koronę...

Mieczysław Romanowski.



Śpiewał słowik, śpiewał, ja wierzyć nie chciałem,
Ale od niechcenia w oczko twe spojrzałem,
Spojrzałem i widzę, że to jest konieczność,
Patrzeć w oczko twoje, choćby całą wieczność.

Wiosną o zaraniu, róża się promieni,
A w ogródku lilja od niej się rumieni,
Rumieni się zorza i rosa kryształi,
Ale świeższa krasa twoich ust korali.

Świecą gwiazdki jasno, na błękitnem niebie,
Jednak wszystkie gasną, gdy spojrzę na ciebie,
I gwiazdeczki gasną, i słońce w obłoku,
Bo jaśniejsze słońce świeci w twojem oku.

PIJACZKA.

Powieść w II częściach.

Z francuzkiego przetłomaczona dla „Pracy“ przez Laurę Zejdowską.

(Przedruk wzbroniony.)

13)

Część I.

Nieszczęśliwa matka.

(Ciąg dalszy.)

Całą tę rozmowę słyszał jednakże Gustaw, gdyż drzwi do salonu były otwarte, jak tylko gość odszedł powiedział:

— Nie mogłem dobrze zrozumieć tej historyi, słyszałem coś także o sprawie Pijaczki, proszę cię ojcze, opowiedz mi to.

— Nic nadzwyczajnego, opowiem ci w kilku wyrazach. Karolina Lamarche otruła swoje dziecko w czasie nieobecności męża, skazano ją na śmierć, lecz ułaskawiono; w tej chwili odbywa ona dożywotnie ciężkie roboty w Clermont. Oto wszystko.

— To ty ojcze składałeś raport, ty robiłeś sekcyję i znalazłeś truciznę?

— Naturalnie, że tak.

— A jaki to był rodzaj trucizny?

— Proszę cię, zmieńmy przedmiot rozmowy, cóż ciebie to może obchodzić.

Gustaw spojrzał z podziwem na ojca, nigdy nie widział go tak złym i rozdrażnionym, odszedł do swego zajęcia, nie powiedziawszy więcej ani słowa.

W jakiś czas po tej rozmowie, wszedł pewnego dnia doktór niespodziewanie do pokoju syna, Gustaw był tak zatopiony w czytaniu, że nie zauważył wejścia ojca, dopiero kiedy tenże dotknął jego ramienia i powiedział: „Cóż to, czy śpisz?“ Młody człowiek zadrżał i machinalnie przykrył rękoma rozłożone na biurku dzienniki. Nie uszło to uwagi doktora.

— Cóż to, czytałeś z takiem zajęciem?

Nic, nic, tak sobie... głowa mnie boli, muszę zażyć proszek antypiryny... gdzież on się zapodział?

Mówiąc to, przewracał papiery na biurku i zręcznie zakrył dzienniki.

— Idź do mego gabinetu, proszki leżą na stole.

Gustaw zawahał się, lecz wyszedł, w tej chwili doktór szybko podniósł papiery i odczytał ku wielkiemu swemu przerażeniu w jednym z dzienników ten dobrze mu znany napis:

„Sprawozdanie z posiedzenia sądowego miasta Tours.

Sprawa Pijaczki.

Otrucie dziecka przez matkę.“

Nie spodziewałem się tego, wyszeptał, i wrócił na miejsce, zaledwie to uczynił, wszedł Gustaw, rzucił okiem na biurko i zaraz spostrzegł, że ojciec dziennik czytał.

Nastała chwilka niemiłego milczenia, poczem doktór uspokoiwszy się zupełnie powiedział:

— Czytałeś sprawę Karoliny Lamarche?

— Tak... zaledwie zacząłem...

— Czy cię to tak zajęło?

— Jak ciekawy romans, lub powieść prawdziwa, w której autor działa na nerwy czytelników.

Jak odczytasz całą, powiesz mi swoje wrażenia.

— Dobrze... lecz powiedz mi ojcze, czemu nie miała miejsca druga ekspertyza, o którą dopominał się adwokat obwinionej?

— Cóż chcesz, opinia publiczna obwiniła tak silnie tę kobietę, że uważano to za zbyteczne.

— Tak.. masz słuszność ojcze.

Gustaw zdawał się być przekonany, przez dni następne unikał rozmowy z ojcem w tym przedmiocie, aż raz prosił go, żeby mógł mu towarzyszyć w zwykłej jego wizycie w przytułku sierot.

Cóż za dziwna myśl, chcesz tego koniecznie?

— Mój ojcze, zrobi mi to wielką przyjemność... taki jestem ciekawy, chcę zwiedzić ten zakład... tyle dobrego o nim mówią.. czy to tam zamknięte są córki Pijaczki?

— Tak, ale one nie są zamknięte, przecież to nie więzienie, jednakże zabrać cię nie mogę, siostra przełożona nie lubi wizyt osób obcych.

— To pozwól mi chociaż pojechać z tobą do bram zakładu, patrz powóz już czeka na ciebie.

Doktór nie mógł się dłużej opierać, nie chcąc wzbudzić podejrzeń w Gustawie, pojechał i weszli razem, a krata żelazna zamknęła się za nimi.

ROZDZIAŁ III.

Zbuntowane!

Klara i Luiza były dziewczynkami łagodnemi i posłusznemi, lecz znoszone prześladowania zmieniły zupełnie ich usposobienia, zrobiły się gwałtownemi i często wpadały w straszny gniew. Ponieważ z początku nie odzywały się nic na złośliwe uwagi i żarty, towarzyszki ich ośmielały się coraz bardziej. Najwięcej zaciętą i niedobrą była najstarsza z sierot, nazwiskiem Marya Flicot, brzydka, ruda dziewczyna, ona to bez żadnego powodu nienawidziła bliźniaczki uczuciem podobnem do napadów zwierzęcych, wszystkie dowcipy były jej pomysłu, aż do kradzieży.

Pewnego dnia zginęła z szafy Klary sztuka materyi, nad którą pracowała dzieweczka, w rękach jej był klucz, drugi zaś otwierający wszystkie szafy sierót, wisiał w pokoju matki przełożonej. Szafę otworzono, nie naruszywszy zamku, zatem Klara była winną i ją ukarano surowo. Materya nigdy się już nie znalazła; przełożona badała Klarę, ona płakała, przeczyła, lecz jej nie uwierzono.

Złodziejka, powiedziała cicho przełożona, cóż ja zrobię teraz z tem dzieckiem?

Zamknięto Klarę na osobności przez 15 dni, gdzie nie tęskniła wcale za towarzyszkami, brakło jej tylko Luizy. Wyszła z pokoju pokuty ze spuszczoną główką, pełną złych myśli i skrytego buntu. Moje dziecko, powiedziała do niej przełożona, przebaczam ci po raz pierwszy i ostatni, jeżeli jeszcze kiedy popełnisz coś godnego nagany, rozdzielę cię z siostrą i odeślę do domu poprawy.

— Zrobisz co zechcesz moja matko, już raz powiedziałam, że nie jestem złodziejką, nie chciałaś mi wierzyć, wolna twoja wola.

— Bądź dla mnie z poszanowaniem Klaro...

— A ty matko, bądź dla mnie sprawiedliwą,

Życie znów poszło zwykłym trybem, przez kilka tygodni Klara i Luiza zostawione zostały w spokoju, nawet Marya Flicot zapomniała o nich pozornie, gdyż przygotowywała nową podłość, straszniejszą niż poprzednio.

Klara czuwała ciągle, nie sypiała prawie, czekając nowego ciosu, którego była pewną. Tak się też stało, pewnej nocy zobaczyła w sypialni przesuwający się cień koło swego łóżka, poczem cień ten przeszedł do sali sąsiedniej, gdzie stały szafy oznaczone numerami i literami każdej z dziewcząt. Klara poznała zaraz Maryę Flicot, wstała, ubrała się szybko, rozbudziła Luizę i kazała jej iść za sobą. Sala z szafami nie była oświetlaną w nocy, ale Marya, ta przewidująca istotka, wyciągnęła z kieszeni kawałek świeczki, zapałki i zapaliła ją i zaraz skierowała się do szafy, nie należącej ani do Luizy, ani do Klary i otworzyła ją zabranym kluczem z pokoju przełożonej.

Bliźniaczki przytulone do siebie w ciemnym kącie pokoju, patrzały z podziwem co dalej się stanie. Marya wyjęła z szafy paczkę koronek kosztownej i prześlicznej roboty ręcznej, tej sieroty, do której należała szafa. Była to najzdolniejsza robotnica, a koronki miały być sprzedane za bardzo wysoką cenę na korzyść zakładu. Ruda dziewczyna zamknęła szafę i przeszła do szafy Klary, otworzyła ją jak poprzednią, włożyła koronki pomiędzy bieliznę, lecz jeszcze nie zdążyła zamknąć, kiedy Klara z okrzykiem nędznico, rzuciła się ku niej, przewróciła ją i z niepojętą siłą przydusiła do ziemi.

— Idź po matkę przełożoną, zawołała do siostry, ruda broniła się dzielnie, ale Klara nie uległa.

— Ah! nędznico, to ty mnie już raz okradłaś, a teraz znów chciałaś mnie zrobić złodziejką! Na krzyk i hałas

zbiegły się wszystkie dziewczynki, nadeszła też matka przełożona, którą w dwóch słowach objaśniono o tem, co zaszło; Marya złapana na gorącym uczynku, wypierać się nie mogła, zaraz ją zamknięto w osobnym pokoju.

Klara i Luiza na drugi dzień miały długą, serdeczną rozmowę z przełożoną, opowiedziały jej wszystko to, co przeszły od lat tylu.

Maryę odesłano do domu poprawy, lecz to spóźniona sprawiedliwość i nie zmieniła wcale zamiaru ucieczki, siostry myślały o niej ciągle i czekały sposobności.

ROZDZIAŁ IV.

„Ucieczka."

W więzieniu w Clermont, Pijaczka prowadziła życie smutne i monotonne. W dzień wejścia za te straszne mury, kiedy ubierano Karolinę w więzienne ubranie w obecności dyrektora, powiedziała ona do niego.

— Jestem niewinną, Bóg da, że nadejdzie chwila mojej rehabilitacyi, będziesz pan ze mnie miał pensyonarkę cichą i posłuszną. Dyrektor dzielny, uczciwy człowiek, przekonał się, że dotrzymała obietnicy, przez lata ubiegłe była pracowitą i ani razu ją nie ukarano. Pozwolono Karolinie pisywać do córeczek, a listy te były zawsze pełne poddania się smutnemu losowi.

— Moje drogie,kochane maleńkie, nie przeklinajcie waszego losu, miejcie nadzieję w przyszłości. Wierzcie w niewinność waszej matki, bo ona jest ofiarą. Pamiętajcie, że ona was kocha i że nadejdzie dzień, kiedy was będzie mogła przytulić do swego serca.

Bliźniaki odpowiadały matce, te dwa maleńkie liściki kładzione w jednę kopertę, były to jedyne odgłosy ze świata, dochodzące ją do więzienia, nawet nie wiedziała, czy mąż jej wyleczony, czy żyje. Z czasem Klara i Luiza zaprzestały pisywać, wtedy błagała je choć o kilka słów, choć o wspomnienie; miłość dzieci był to ostatni węzeł, co ją przywięzywał do życia. Nauka, praca, prześladowanie, którym ulegały w przytułku, zacierał powoli w ich umysłach obraz matki, a ona tam sama rozpaczała i mówiła sobie z żalem:

„Ukradziono mi serca moich dzieci!"

Zaczęła chorować, dostała nerwowej febry, nastąpił upadek sił, co zwróciło uwagę dyrektora.

Zacny ten człowiek przez kilka lat robił starania, nie mówił nic Karolinie o tem, nie chcąc ją łudzić próżną nadzieją, aż pewnego dnia kazał przyprowadzić do swego gabinetu biedną kobietę i tak do niej powiedział:

— Mam dla pani wielką nowinę.

— Każda mi będzie obojętną, prócz tej jednej, abym mogła zobaczyć moje dzieci.

— Zobaczysz je pani i to prędzej niż myślisz.

— I będę mogła rozmawiać z niemi?

— Ile tylko zechcesz.

— One tu przyjdą... oh! jakże pan jesteś dobry!

— Nie, to nie one... to pani pójdziesz do nich. Miło mi bardzo, że mogę pani to oznajmić, jesteś wolna. Twoje dobre sprawowanie się, rezygnacya i poprawa wyjednały ci ułaskawienie!

— Jestem wolna... ja...

— No, no... uspokój się pani... zbierz siły, możesz zaraz odejść, załatwiłem już wszelkie formalności, drzwi są dla pani otwarte.

— Panie, jesteś pan dobry, dziękuję ci z całego serca, lecz pozwól pan sobie zadać zapytanie. Zatem dowiedziono mojej niewinności?

— Nie... zmniejszono tylko karę.

— Więc jestem jak pierw pozbawioną czci?

— Tak, jesteś pani do dziś dnia tą, którą dwanaście lat temu skazano na śmierć za otrucie dziecka swego!

— Nic... nic nie może mnie zrehabilitować?

— Jedna tylko rzecz, rewizya procesu pani na podstawie dowodu niewinności.

— Nie mam tego dowodu... ale teraz, kiedy jestem wolną, znajdę go, muszę dowieść moim dzieciom, że nie jestem występną, tylko ofiarą.

Na zakończenie rozmowy dyrektor wręczył Karolinie ubranie, oraz pewną sumę pieniędzy, uskładanych za jej pracę w więzieniu. W godzinę potem opuściła te mury na zawsze. Kiedy się znalazła na wolnem powietrzu na wsi, radość nieopisana przejęła jej biedne serce, szła bez chwili wytchnienia, nie mogąc się dość nacieszyć odzyskaną wolnością. Znużona zatrzymała się w jakiejś oberży, posiliła się i zażądała pokoju do przenocowania.

Nazajutrz pojechała koleją do Tours, wysiadła i skierowała się w stronę Vouvray. Po drodze, pełna radości, chcąc się upewnić o swojem szczęściu, rozpytywała wszystkich przechodzących, czy to jest droga do przytułku dla sierot.

Nareszcie.., nareszcie stanęła u kraty.

— Czego pani sobie życzy — zapytała siostra furtyjanka.

— Przyszłam do moich dzieci.

— Pani dzieci? Przecież u nas są tylko sieroty.

— Byłam uwięzioną, uwolniono mnie... jestem wolna, to też zaraz przybiegłam do moich dzieci!

— Nazwisko pani, zapytała zadziwiona siostra.

— Jestem Karolina Lamarche... mam dwie córeczki, Klarę i Luizę.

Siostra furtyjanka zrozumiała nareszcie.

— A! to pani jesteś pi...

— Dokończ siostro... tak mnie niestety dawniej przezwano.

— Wejdź pani, muszę uprzedzić matkę przełożoną.

— Słówko jeszcze błagam cię, siostro, powiedz mi, czy zobaczę prędko moje dzieci... czy żyją... czy zdrowe?

— Tak żyją, są zdrowe, dobre i posłuszne.

— O! dziękuję ci siostro, teraz idź, a wracaj prędko.

Matka przełożona nie chciała jednakże zaraz przywołać Klary i Luizy ku wielkiemu żalowi Karoliny; potrzebne były pewne formalności, sprawdzenie tożsamości matki, gdyż z więzienia nie było dotąd żadnych wiadomości. Przełożona wzruszona łzami biednej kobiety, obiecała telegrafować i poleciła jej zgłosić się za kilka godzin.

— Przyjdź pani wieczorem, zresztą córki pani są w tej chwili nieobecne w zakładzie, mają zajęcie we wsi, bądź cierpliwą, moja dobra kobieto.

Karolina wyszła z poczekalni i zwróciła się do wyjścia, na dziedzińcu stało wtedy dwóch panów, młodzieniec i starzec. Ten ostatni podniósł głowę przypadkiem, a na widok przechodzącej wydał okrzyk stłumiony.

— Boże mój, to ona! Wolna!

— Doktór Marignan poznał Karolinę, pomimo lat ubiegłych zachowała ona w swej postaci dawną dystynkcyą i słodycz na bladej twarzy. Gustaw spojrzał na ojca.

— Co się stało, ojcze, kto jest ta kobieta, co szła taka smutna i zamyślona?

Matka przełożona zbliżyła się właśnie i ona to odpowiedziała szeptem zamiast doktora.

— To jest Pijaczka... wolna przyszła po swoje dzieci.

Marignan stał blady, oparty o drzewo, nie wiedząc sam, co się z nim dzieje.

Gustaw patrzał w milczeniu na tego starca o błędnem spojrzeniu, którego sam widok tej biednej kobiety pozbawiał przytomności.

Karolina tymczasem nie oddaliła się zbytnio, krążyła blisko zakładu i budki stróża, aż ten zadziwiony powiedział uprzejmie:

— Jeżeli pani czeka na kogo, proszę idź pani tam pod drzewa, na drodze są ławki, odpoczniesz.

— Dziękuję panu, odpowiedziała, zrobiła jak jej radził. Siedziała może z pół godziny, kiedy usłyszała jakieś kroki, podniosła głowę; koło niej przechodziły, nie widząc jej, dwie dziewczynki w ubraniach sierot zakładu, w wieku mniejwięcej lat szesnastu. Pochyliły główki ku sobie i szeptały tajemniczo.

— Czy pewną jesteś, że nas nikt nie widział, nawet odźwierny?

— Spał na ławce z głową nakrytą.

— Czy tylko zdążymy?

— Jest jeszcze brak pół godziny do dzwonka.

— Spieszmy się... prędzej...

To były Klara i Luiza.

To życie przytułku stało im się zbyt ciężkie, pomimo spóźnionej dobroci Matki przełożonej. Uciekały na wolność, bo właśnie wczoraj zdołały plan swój przeprowadzić. Wymknęły się zręcznie, zdjęły klucz, wiszący w pokoju dozórcy, którym otwierano bramę dziedzińca i oto gotowe są do ucieczki. Właśnie zbliżały się do furtki, kiedy nagle wydały okrzyk przerażenia, przed niemi stanęła wysoka, blada nieznajoma kobieta, ubrana czarno.

— Kto to jest, powiedziała do Luizy Klara, ona nam przeszkodzi.

— Pani, czego chcesz od nas, pozwól nam przejść.

— Proszę was, panienki, powiedzcie mi, czy znacie dwie siostry, imieniem Klara i Luiza, córki pewnej biednej kobiety, nazwiskiem Karolina.

— Karolina Lamarche Pijaczka, zawołała ostro Luiza.

— Tak... powiedziała nieszczęśliwa matka, gdyż patrząc na dwie śliczne dzieweczki, gotową już była myśleć, że ma przed sobą ukochane dzieci.

— Znamy je... ale się z niemi nie zadajemy... właśnie z powodu ich matki.

Karolina uczuła, że nogi się pod nią uginają, bliska omdlenia oparła się o drzewo, Luiza chciała ją ratować, ale Klara pociągnęła siostrę, mówiąc:

— Chodźże, spóźnimy się.

Rzuciła się ku furtce, lecz nie miała siły przekręcić wielkiego klucza; stały obie bezradne, aż Klara zdobyła się na czyn odwagi.

— Pani, powiedziała do Karoliny, teraz będziemy przez ciebie ukarane, zajęłaś nas rozmową, nie zdążymy załatwić tego, co nam polecono, niech nam pani pomoże otworzyć.

Karolina zbliżyła się, przekręciła klucz... drzwi były otwarte, droga wolna! Dzieweczki rzuciły się jak szalone i pobiegły szybko w stronę wsi, ona stała, patrząc za niemi, aż znikły, mówiąc:

— Niech Bóg przebaczy tym dzieciom złe, co mi wyrządziły.

Ozwał się też zaraz dzwonek, a cały dziedziniec zaroił się od dziewcząt różnego wieku. Nie będąc pewną, czy zdoła poznać swoje córki, podeszła do jednej z sióstr i prosiła, by jej wskazała Klarę i Luizę. Siostra, którą przełożona uprzedziła o przybyciu Karoliny, czyniąc zadość prośbie, zawołała głośno kilka razy, lecz nikt nie odpowiedział. Jedna z dziewcząt objaśniła, że nie ma między niemi bliźniaczek, zapewne są w ogrodzie.

— W ogrodzie były przed chwilą dwie dziewczynki... może... nie śmiała dalej mówić biedaczka, gdyż stanęła jej w myśli rozmowa z niemi i te ich słowa: „To córki Pijaczki, my się z niemi nie zadajemy.“

— Tak pani, to była Klara i Luiza, pani je widziałaś, gdzie one być mogą?

— Powiedziały mi, mówiła Karolina ze ściśniętem sercem i łzami w oczach, że polecono im załatwić coś we wsi, bały się spóźnić... pomogłam im drzwi otworzyć.

— Jakie drzwi, co pani mówi... nigdy... nigdy dzieciom bez opieki nie wolno wychodzić.

— Ja nie wiem, one miały klucz.

Siostra pobiegła do domku odźwiernego, wróciła zaraz blada, zaniepokojona uprzedzić przełożoną o tem, co zaszło.

— Gdzie one są, gdzie moje dzieci, wołała nieszczęśliwa, siostro, powiedz mi, gdzie one, ja chcę je zobaczyć!

— Uspokój się pani, może są na sali, może się jeszcze nie stało nic złego, może one nie uciekły.

— Uciekły! Wielki Boże!

Karolina zemdlała, zaniesiono ją do poczekalni, a kiedy przyszła do przytomności, Matka przełożona starała się ją pocieszyć jak mogła, choć sama była bardzo przygnębioną.

— Niech pani nie rozpacza, odnajdziemy twoje córki, telegrafowano mi już z więzienia, będziesz je mogła odwiedzać, one powrócą same, zaręczam pani.

— Nie, nie, one nie wrócą, jestem pewną.

— Przeciwnie, rozesłano za niemi po wsi, odnajdę je... wróć pani tu jutro rano... a czy masz pieniądze?

— Dziękuję, nic mi nie brak, prócz moich dzieci!

Miała słuszność biedna matka mówiąc, że one nie wrócą, przepadły, znikły pomimo gorliwych poszukiwań, po ośmiu dniach stracono wszelkie ślady i nadzieję!

ROZDZIAŁ V.

„Goniche — ślusarnia artystyczna.“

Doktór Marignan wyjechał pewnego dnia w okolicę Tours z wizytą do chorego i miał wrócić dopiero wieczorem. Gustaw w czasie jego nieobecności już po raz trzeci wyjmował z szuflady swego biurka dzienniki z opisem sprawy Pijaczki i zagłębiał się w czytaniu; zajęcie to przerwał mu służący, prosząc, aby zechciał rozmówić się z jakimś człowiekiem, który dowiedziawszy się, że doktora Marignan nie ma w domu, pragnie widzieć syna. Zadziwiony trochę, przeszedł do salonu, gdzie zastał mężczyznę mniejwięcej koło lat 40, silnej budowy, o wesołej poczciwej twarzy, ubranego jak robotnik, z pewną jednakże starannością. Skłonił się młodemu doktorowi z uśmiechem i powiedział z całą naiwnością:

— Jestem Goniche...

— Aha! pan jesteś Goniche, proszę siadać...

— Więc pan już wiesz?

— Nie, ja nic nie wiem?

— Nie znasz pan mego nazwiska?

— Słyszę je po raz pierwszy w życiu.

— Jesteś pan przecież synem doktora Marignan... ojciec nic panu nie opowiadał... nic o mojej awanturze z przed dwunastu laty?

— Nie panie, ani słowa.

— No, no, to on bardziej dyskretny, niż myślałem... panie, ja jestem winien życie pańskiemu ojcu, on podał mi rękę w chwili upadku, on dał mi swoją sakiewkę i sprawił to, że zostałem uczciwym człowiekiem. Nie chcę, żeby teraz myślał, iż jestem niewdzięczny; obiecałem mu, że pewnego dnia będzie miał o mnie wiadomości. Pracowałem usilnie przez tych lat 12, zajmowałem się ślusarstwem w różnych miastach, nareszcie ożeniłem się z pewną milutką kobietką, osiadłem w Tours i wkrótce zostanę ojcem, właśnie dlatego przyszedłem do pańskiego ojca, chciałem go prosić, żeby odwiedził moją żonę, a potem został ojcem chrzestnym mego malca.

— Panie Goniche, powiem ojcu o pańskiej prośbie.

— Dziękuję panu, teraz doktór napewno opowie panu, gdzie mnie poznał... bo... bo widzisz pan, ja kiedyś byłem złodziejem... niech się pan nie obawia, ale ja nie kłamię, doprawdy, zapytaj ojca... a czy pan nie przechodzi kiedy ulicą Corneille? Proszę pana, przejdź pan, podnieś głowę i przeczytaj szyld nad sklepem:

„Goniche, Slusarnia Artystyczna“

Potem wejdź pan, żona moja i ja powitamy pana u siebie z radością. Teraz do widzenia, a powiedz pan ojcu mój adres i to, że tu był Goniche, złodziej z białego domu, zaczadzony od piecy do wypalania gipsu, on sobie zaraz mnie przypomni... żegnam pana.

— Goniche zaczadzony... co to może być takiego — myślał Gustaw po odejściu dziwnego gościa.

Jak tylko wrócił doktor, zapytał go wesoło:

— Goniche ślusarz, czy znasz coś podobnego ojcze?

Usłyszawszy to nazwisko Marignan zadrżał, ono mu przypominało najstraszniejszą ze zbrodni.

— Był tu ten złodziej z białego domu, usilnie prosił, żeby mu dać ten tytuł, na którym mu bardzo zależy. To ma ci ojcze przypomnieć...

— Wiem... wiem, Goniche... i czegoż chciał?

— Najpierw podziękować ci za to, co dla niego zrobiłeś, potem prosić, żebyś odwiedził jego żonę i trzymał mu do chrztu przyszłego potomka.

— Dobrze... dobrze, zobaczę... wcale mnie nie nęci to zaproszenie.

Nie czekając jednakże dłużej, już wieczorem doktór Marignan udał się na ulicę Corneille, zastał Gonicha przy obiedzie z żoną w pokoju za sklepem Goniche, który w pierwszej chwili nie poznał doktora, dopiero kiedy tenże wymienił swoje nazwisko, zaczął wołać uradowany:

Żono patrz, to doktór Marignan, jaki poczciwy, że zaraz przyszedł.

— Mam z panem pomówić na osobności, panie Goniche.

— Ze mną? Hej kobietko, idźno do swego pokoju, pan doktór chce ze mną troszkę pogadać.

Młoda, ładna blondynka skinęła główką i odeszła.

— Teraz, panie Goniche, czy pamiętasz, co zrobiłem dla ciebie?

— Tak, panie, życie moje do pana należy.

— No... aż tyle nie wymagam, lecz możesz mi się odwdzięczyć, idzie oto, żebyś... żebyś bezzwłocznie opuścił i to na zawsze miasto Tours.

— Wyjechać z Tours... pan chyba żartuje?

— Mówię zupełnie poważnie... jutro nawet, jeżeli to będzie możliwe, odjedziesz pan i nie powiesz tu nikomu swego nowego adresu.

— Ależ do licha, panie doktorze, nie możesz tego odemnie wymagać; toby wyglądało na ucieczkę, ja tu mam kupieckie zobowiązania, mam do spłacenia weksle w obiegu, nie miałbym nawet za co wyjechać i w innem mieście urzą-

dzać się na nowo. To będzie moja ruina, utrata uczciwego nazwiska. Nie... nie, ja nie chcę... nie mogę!

— Nie troszcz się o to Goniche, biorę wszystko na siebie, zapłacę to wszystko, dam ci na nowe urządzenie interesu, zwrócę nawet za czas stracony.

— Tak bardzo panu zależy na mojem zniknięciu. Chcesz pan koniecznie mnie sie pozbyć? Możnaby myśleć, że się mnie boisz, panie doktorze!

— Jak śmiesz do mnie tak mówić...

— Mam prawo wiedzieć przyczynę tego żądania.

— Przed człowiekiem takim jak ty, nie mam potrzeby robić zwierzeń. Zatem odmawiasz?

— Tak odmawiam... błagam pana...

— Dobrze. Ponieważ nic mnie teraz nie zobowięzuje do milczenia, przy pierwszej sposobności powiem, że swój fach ślusarski rozpocząłeś od złodziejstwa.

— Panie doktorze, tem jednem słowem zmazałeś swój dobry postępek z przed laty.

— To ostatnie słowo?

— Niestety, jeżeli zdradzisz moją tajemnicę życie tu dla mnie stanie się niemożliwe, kładziesz mi nóż na gardło, odjadę.

— Nareszcie. Ale natychmiast!

— Dobrze, jutro wieczór już mnie tu nie będzie. O Boże! co też powie na to moja kochana żona... może się rozchorować. Oto jest adres mego adwokata, on zajmie się pańskiemi sprawami, bądź spokojny, ja sam czuwać będę nad tem.

— Przejdź pan jutro wieczorem, znajdziesz na sklepie napis, on może uspokoi pańskie sumienie, bo zdaje się, że ono nie jest w porządku!

Doktór nic nie odpowiedział na to pożegnanie, wrócił do domu nic nie mówiąc Gustawowi o swojej wizycie a nazajutrz rano syn jeszcze spał, kiedy ojciec wyjechał na miasto.

Po śniadaniu, w chwili, kiedy młody człowiek wsiadał na rower, by odbyć zwykły spacer, jakiś mężczyzna wpadł na niego jak waryat... to był Goniche. Gustaw poznał go zaraz.

— Oh! panie... panie, straszne nieszczęście, czy ojciec w domu?

— Nie.

— Ale pan jesteś też doktorem?

— Tak, czy kto zachorował?

— Moja żona... ale ja się tego spodziewałem, mówiłem wczoraj, że tak będzie, kiedy ojciec pana zmusił mnie do wyjazdu... jeżeli ona umrze i dziecko, to winien temu pański ojciec.

Gustaw nie słuchał dalej, pociągnął Gonicha i obaj szybko biegli w stronę ulicy Corneille.

Młoda kobieta cierpiała bardzo, Gustaw przesiedział tam aż do wieczora, dziecko przyszło na świat zdrowe, lecz matka blizką była śmierci. Goniche płakał, strasznie desperował i błagał doktora choć o promień nadziei, ale tej niestety nie miał sam Gustaw.

Kiedy wrócił późną nocą, zastał ojca czuwającego.

— Skąd wracasz, służący mówił mi, że cię wezwano do chorej. Cóż to za jedna?

— Żona Gonicha!

— Oho! zabierasz mi już klientki.

— Tak, to był wypadek, spowodowany wielkiem wzruszeniem, dziecko żyje, matka umiera!

Starzec zacisnął pięści i zamknął oczy... fatalność coraz bardziej była zwróconą ku niemu... co dalej będzie.

— Jutro pójdę z tobą, muszę ją ocalić.

— Jutro... pójdę ja sam... mnie ona będzie zawdzięczać życie... jesteś tam zbyteczny, ojcze... nie chcę, żebyś tam chodził.

Przez 8 dni Gustaw nie odstępował chorej, nareszcie śmierć zwyciężył, była uratowana... przez cały ten czas Goniche powtarzał:

— Jeżeli ona umrze, powiesz pan sobie, że to ojciec pana ją zabił.

— Gdzie i kiedy poznałeś pan mego ojca?

— Powiem panu wszystko, bo i tak wiesz już trochę. Lat temu dwanaście byłem w nędzy, nigdzie nie mogłem dostać roboty, błądziłem nad rzeką ludną, tam napotkałem raz wieczorem dom o ładnej powierzchowności, który się zdawał opuszczony, zdaje się, że i pański ojciec pomimo pory spóźnionej stał, czy przechodził koło niego. Postanowiłem spróbować szczęścia, miałem narzędzia, dostałem się do wnętrza... lecz zaledwie zamknąłem drzwi za sobą, doznałem dziwnego wrażenia, pulsa mi biły, było mi słabo, ciemno w oczach... chciałem uciekać, nogi odmówiły posłuszeństwa, uczułem, że się duszę, padłem na ziemię i zacząłem wołać ratunku, widziałem, że to zaczadzenie, bo już raz temu uległem...

— A cóż to był za dom, panie Goniche?

— Podobno nazywano go białym domem.

Gustaw doznał ściśnienia serca i jakiegoś przeczucia, czegoś złego... więc to w tym właśnie domu odegrał się dramat Pijaczki!

— Ojciec pański widział mnie, kiedy wchodziłem, usłyszał moje krzyki, przybiegł i ocalił mnie, ale to jeszcze nie wszystko, bo zrobił ze mnie uczciwego człowieka!

— Ale jakiż był powód pańskich cierpień, cóż pan o tem myślałeś?

— To bardzo było łatwe do zrozumienia, do ściany tego pokoju dotykały piece do wypalania gipsu, pewno więc trucizna rozchodziła się po całym domu i ja zostałem po prostu zaczadzony... tym, no, jakże to nazywają...

— Niedokwas węgla...

— Tak, tak, ale pański ojciec wcale się tego nie domyślał, dopiero potem sam mi powiedział, że tam są za ścianą dwa rozpalone ogniska!

— Rozpalone ogniska?

Teraz Gustaw przypomniał sobie szczegóły sprawy... te zeznania Langerauma, na które nie zwracano uwagi. „Rozpaliłem“ — „Zagasiłem“.

Nikt, nikt nie zastanowił się nad tem, ani sędziowie, ani adwokat.. nawet jego ojciec! A jeżeli to te piece z gipsu wydały truciznę? Cóż za straszną omyłkę popełniono! Przed tą zbrodnią, przed tak niebywałą niesprawiedliwością zadrżał Gustaw.. zakrył oczy i powtarzał:

— Nie, to niemożliwe, to ja się mylę!

Tak, ale cóż znaczy to dziwne zajęcie się losem dwóch córek Karoliny, dlaczego omal nie zemdlał mój ojciec na widok Pijaczki, uwolnionej z więzienia?

— Panie doktorze, oto jest cała moja historya, ja się tam na tem nie znam, ale pan już może zrozumiałeś, dlaczego ojciec pana chce mnie gwałtem zmusić do wyjazdu z Tours? Powiedz mu pan, że na teraz jest to chyba niemożliwe.

— Pozostaniesz tu, panie Goniche, zajmij się spokojnie twoją pracą, ja załatwię całą sprawę z moim ojcem, on już tu więcej nie przyjdzie.

— Oh! jaki pan jesteś dobry, zawołał Goniche z radością i ucałował rękę młodzieńca.

Gustaw nie mówił nic z ojcem o tej rozmowie, przez kilka dni chodził smutny i zamyślony. A jeżeli mój ojciec omylił się, jeżeli Karolina jest niewinna, czyż nie jest jego obowiązkiem naprawić to, co się stało? Przeglądał znów sprawę, raport lekarski i coraz większy ogarniał go niepokój. Doktór Marignan nic nie powiedział... nie uprzedził o swojem odkryciu sprawiedliwości... to on był winien... Ojciec jego był zbrodniarzem!

Nareszcie chcąc wyjść z tej niepewności, sam postanowił zwiedzić biały dom; nie uprzedziwszy ojca, wyjechał zaraz na kilkodniową wycieczkę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Złote myśli.

Wychowanie ukształca umysły narodu;
Drzewo tak potem rośnie, jak je nagniem z przodu.

Kamiński.

* * *

Lepiej wychowuje serdeczne słowo, gorzkie młodych lat doświadczenie, praca, cierpienie, a nawet błędy, niż najrozumniejsza teorya.

Kraszewski.

* * *

Często dawnej zasługi pamięć się utraca,
A nowość tylko popłaca.

Niemcewicz.

MĘCZENNICA W KORONIE

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

3) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Potem nalał herbaty w szklankę, i położywszy kartkę na cukier, poszedł do kajuty Felicyi.

Młoda kobieta spoczywała na kanapie i z wdzięcznym uśmiechem spojrzała na wchodzącego.

— Ach, przynosisz mi pan herbatę, — rzekła. — Zwykle czyni to moja garderobiana, ale biedna cierpi strasznie na morską chorobę! Musiała się już położyć.

— Przyniósłem też cukier wielmożnej pani, — szepnął Maksymiljan, spuszczając głowę. Zwracam na niego szczególną uwagę.

Na dźwięk jego głosu zadrzała Felicya.

Czyjże to był głos? Kogo jej przypominał? Z jaką rozkoszą słuchała niegdyś głosu zupełnie do tego podobnego! Ale tamten spoczywał w grobie, a ona — była żoną innego!

Z ciężkiem westchnieniem przysunęła sobie stolik i otworzyła cukierniczkę, a pierwszem czego jej palce dotknęły, była kartka Maksymiljana.

Felicja przeczytała ją i śmiertelna bladość pokryła jej twarz.

— Przyjaciel! — jąkła. — Ten głos, ale nie, nie, to być nie może! Umarli nie wstają z grobów. A jednak...

* * *

Z pełnemi żeglami przepływała Jaskółka koło Cuxhaven.

Sternik miał rozkaz rozwinięcia wszystkich żagli, okręt więc pędził z najwyższą szybkością.

Nagle odbił od lądu mały parowiec i zmierzał wprost ku Jaskółce.

Pedro stał obok sternika.

— Pokażcie, co umiecie, — szeptał ochrypłym głosem. — Nie trzysta, ale pięćset marek dam wam napewno!

Sternik milcząc, kręcił koło, nie patrząc ani na prawo, ani na lewo. Mały parowiec zbliżał się coraz to więcej.

W tejże chwili zabrzmiało przez ogromną tubę wołanie:

— Stój! stój! W imię prawa! Policya chce wejść na pokład!

— Czy ściągnąć żagle? — zapytał jeden z majtków.

— Nie!

„Jaskółka“ mknęła dalej, jak strzała, majtkowie zdumieni, spojrzeli na siebie.

— Stój, stój! — wołano znowu z parowca. — Szukamy niebezpiecznego zbrodniarza, który zapewne u was się znajduje. Do Hamburga odszukano jego ślad! Nazywa on się...

Dalszych słów nie można było słyszeć, równocześnie bowiem starły się pomiędzy parowcem a „Jaskółką“ dwie ogromne kry tak gwałtownie, że ogłuszający huk rozległ się w powietrzu.

— Czyście rozum stracili? — krzyknął kapitan. — Stójcie! Z policyą żartować nie można.

— A ja nie mogę statku zatrzymać — odrzekł sternik. — Widzicie te góry lodu? Płyną one wprost na nas i zmiażdżą nas, jak nic. Chcecie tego?

— Broń Boże!

„Jaskółka“ ominęła szczęśliwie niebezpieczeństwo i na wolniejszą wypłynęła wodę. Parowiec chciał ją ścigać, ale lód zastąpił mu drogę.

— Jesteście ocaleni, — szepnął sternik po chwili do Pedra. — Zarobiłem rzetelnie moje pięćset marek.

— Otóż tu — weźcie je.

Pedro wsunął w rękę sternika pięć niebieskich papierków, a pół godziny później kołysała się „Jaskółka“ wolna i swobodna na falach Morza Północnego.

* * *

Noc była cicha i spokojna, i na pokładzie „Jaskółki“ wszystko się też już uciszyło. Nawet Pedro udał się na spoczynek. Od kilku tygodni usypiał zawsze z tą myślą, że zbudzą go żandarmi, dziś jednak czuł się zupełnie bezpiecznym i zadowolonym z siebie i z całego świata.

Sternik upił się z radości po otrzymaniu tak znacznej sumy, ale pomimo to nie opuszczał swego stanowiska ani na chwilę. Jeden z majtków miał straż nocną, drugi stał w samym końcu pokładu, i patrzał uważnie na drzwi, wiodące do kajut.

Był to Maksymiljan.

Chcąc dotrzymać słowa, danego cesarzowej, zasłonił twarz maską, a na kurtkę marynarza zarzucił długi, ciemny płaszcz. Felicya nie miała go poznać, pod żadnym warunkiem.

Nie trwało długo, a wysmukła, zręczna postać Felicyi ukazała się na schodach. Maksymiljan zbliżył się szybko do niej, i ująwszy jej rękę, zaprowadził ją na drugą stronę pokładu.

— Ktokolwiek bądź pan jesteś, — rzekła młoda kobieta, — powiedz mi, zkąd znasz moje nazwisko?

Znałem niegdyś hrabiankę Szalenburg, — odpowiedział Maksymiljan, zmieniając głos, — ulubioną damę dworską cesarzowej Elżbiety...

— Boże Wielki! To pan znasz moją przeszłość?

— Tak, i dla tego dziwię się, widząc panią żoną człowieka, który nie jest godnym ciebie! Mąż twój przekupił dziś sternika „Jaskółki“, aby uniknąć spotkania z policyą... Uczciwy człowiek nie boi się policyi!

— Chcesz mnie pan ostrzedz, szepnęła Felicya, oskarżasz mego męża, ale mylisz się do powodu jego postępowania! Zresztą, kto rzuca podejrzenie na innych, powinien wystąpić otwarcie, a nie kryć się pod maską. Kto pan jesteś? Głos twój budzi we mnie dawno uśpione wspomnienia — błagam pana, zdejm maskę, pozwól mi raz tylko, raz jedyny spojrzeć na twoją twarz!

— Nie, tego mi uczynić nie wolno, odrzekł Maksymilian stanowczo. Pomyśl, że jednym z tych, których raz w życiu spotkałaś i zaraz potem zapomniałaś!

— Zapomnieć, zawołała Felicya w namiętnem uniesieniu. O nie, nigdy! I muszę się przekonać, czy jesteś tym, którego kochałam, którego tak gorąco opłakiwałam! To jakaś tajemnica — ale ja odkryję ją, chociaż bym umrzeć miała! I rzuciwszy się naprzód, usiłowała zedrzeć z twarzy jego maskę.

Maksymilian bronił się, odpychając lekko jej ręce, ale Felicya straciła zupełnie panowanie nad sobą.

— Ty jesteś Maksymil-an, zawołała, poznaję ciebie! Nie pomoże ci ani maska, ani żadne tajemnice, poznałam cię! O zlituj się, nie męcz mnie dłużej....

— Proszę natychmiast zdjąć maskę, dał się w tej chwili słyszeć obok nich groźny głos Pedra. Muszę zobaczyć, kto o tej porze ma schadzkę z moją żoną!

I uniesiony wściekłym gniewem, odepchnął jedną ręką Felicyę, drugą zaś zerwał maskę z twarzy marynarza. Felicya krzyknęła przeraźliwie i zakryła twarz rękami.

— Mksymilian Kronau!

— Ach, to on, syknął Pedro. To ten człowiek, który stoi pomiędzy mną a moją żoną, który mi zabrał jej serce...

O, jak ja go nienawidzę! Broń się, szepnął ochrypłym głosem, zwracając się szybko do Maksymiljana, dla nas dwóch nie ma miejsca na świecie. Albo ty, albo ja, jeden z nas musi umrzeć!

I jak szalony rzucił się na barona, popychając go ku nizkiej poręczy pokładu.

Maksymiljan nie mógł się bronić. Długi płaszcz przeszkadzał mu w swobodnem poruszeniu się, a Pedro trzymał go jak w kleszczach i zbliżał się z nim coraz to więcej do poręczy...

— Puść go, wołała Felicya, nie zabijaj niewinnego!

— Aha, żal ci pięknego barona! Zimna kąpiel nic mu nie zaszkodzi!

— Ratunku! Pomocy! krzyczała młoda kobieta, ciągnąc z całej siły sznur małego dzwonka przy drzwiach kajuty.

W jednej chwili zaludniło sie na pokładzie. Kapitan, sternik, majtkowie, wszyscy przybiegli na miejsce rozpaczliwej walki, nie wiedząc komu pomagać, kogo ratować.

Ale chociażby i wiedzieli, chociażby i chcieli dopomódz Maksymiljanowi, to nie byliby zdołali na razie wydrzeć ofiary z rąk rozszalałego złoczyńcy.

Obejmując jedną ręką gardło nieszczęśliwego, wyjął drugą rewolwer z kieszeni i groził każdemu, ktoby się zbliżył, natychmiastową śmiercią.

— Niech się nikt nie waży, wołał, zbliżyć do mnie. Rewolwer ma sześć kul!

Maksymiljan zdołał tymczasem oswobodzić z pod płaszcza ręce i teraz dopiero rozpoczęła się walka na dobre.

Ale nagle jeszcze jedna osoba zjawiła się na pokładzie. Była to Józefina!

Zbudzona krzykiem i hałasem, wybiegła, chcąc zobaczyć, co się dzieje, i przy świetle lamp poznała w jednym z walczących, swego męża. Z okrzykiem dzikiej radości rzuciła się na Pedra.

— Precz morderco! krzyknęła, nie zabijaj go! To on! on!

— Wyprowadźcie ją ztąd, zgrzytnął Pedro, to służąca mej żony. Straciła pewnie rozum! Uciekaj Józefino bo strzelę.

— Ach, poznałam go! Maksymiljanie, mój mężu ukochany! Żyjesz, żyjesz! wołała Józefina jak nieprzytomna, szarpiąc ramię Pedra, i nie zważając ani na jego groźbę, ani na rewolwer.

Rozpacz dodawała jej sił, miłość odwagi, i tak stało się coś nadzwyczajnego, silny Pedro został odepchnięty od swej ofiary i potoczywszy się, upadł na ziemię.

Z otwartemi ramionami zwróciła się teraz Józefina do Maksymiljana, który stał, zasłaniając sobie twarz rękami. Wszakże nie było mu wolno zbliżać się do niej, był to najgłówniejszy warunek cesarzowej, i Maksymiljan musiał go wypełnić! Serce krwawiło mu się, ale poczucie obowiązku zwyciężyło miłość i tęsknotę.

— Maksymiljanie, mówiła Józefina płacząc, ty żyjesz! Poznałam cię! Czemu odegrałeś tę komedją samobójstwa? Co to miało znaczyć? Płakałam na twoim grobie, a teraz widzę cie tu żywego i zdrowego! O Boże, jakże jestem szczęśliwą!

Ale czemu ty milczysz? dodała błagalnie, czemu się odwracasz odemnie? Czy nie kochasz mnie już wcale? O, przemów jedno chociaż słowo, m j mężu.

— Nie wolno mi, jęknął Maksymiljan. Jestem związany przysięgą, nie pytaj mnie, nie męcz....

Dalsze słowa przerwał mu ogłuszający łoskot.

Okręt zakołysał się gwałtownie i ogólny okrzyk przerażenia rozległ się na pokładzie.

— Co się stało? krzyknął kapitan.

W pierwszej chwili nikt mu odpowiedzieć nie mógł. Gęsty dym unosi się w około okrętu, żagle spadły ze złamanego masztu, a zamieszanie i trwoga wzmagały się z każdą chwilą.

Maksymilian, trzymając rękę Józefiny, podniósł się zwolna i poznał teraz przyczynę nieszczęścia.

Tuż obok „Jaskółki" znajdował się jakiś parowiec, z którego komina buchał dym i ogień.

Na pokładzie parowca nie mniejszy panował zamęt. Ludzie, na wpół odziani, biegali tu i tam, krzycząc, klnąc i płacząc, a nad tem wszystkiem brzmiał głos kapitana, wydającego krótkie i energiczne rozkazy.

Olafsen stał ze załamanemi rękoma.

— Parowiec najechał mój statek, — jęczał jak nieprzytomny. Jesteśmy zgubieni!

— Ratujcie się na pokład naszego okrętu, — wołano z parowca. Spieszcie się! Nie wiele wam czasu zostaje!

— Co, ja miałbym opuścić mój statek? — krzyknął Olafsen z rozpaczą. Nigdy! Straciłem wszystko! O, czemu dałem się namówić do tej przeklętej podróży!

— Teraz zapóźno na wyrzekania, — rzekł Maksymilian. — Zbieraj pan papiery i pieniądze i uciekaj!

— Najpierw kobiety, — rozkazał kapitan parowca.

Ale na to nikt już nie zważał. Czując, że statek zaczyna tonąć, rzucili się wszyscy, jak szaleni, na deski rzucone z parowca — najpierw szukali ocalenia majtkowie, potem Pedro, niosący zemdloną Felicyę, sternik, kapitan, a w końcu dopiero chciał Maksymiljan przejść z Józefiną.

— Ja nie pójdę tam, szepnęła młoda kobieta, uczepiając się jego ramienia. Zostanę tu i umrę z tobą.

Maksymiljan jednak uwolnił się szybko z jej objęć, podniósł ją jak dziecko do góry, i widząc, że istotnie nie ma chwili do stracenia, wbiegł na chwiejące się deski.

Równocześnie dało się słyszeć przeraźliwe gwizdnięcie machiny i parowiec ruszył z miejsca.

— Ratujcie ją! — krzyknął Maksymilian, rzucając Józefinę na ręce nadbiegających majtków, sam zaś, nie mogąc się utrzymać na deskach, wpadł we wodę i zniknął w rozhukanych bałwanach.

— Ten człowiek jest stracony, — rzekł kapitan parowca. — Nie można go nawęt szukać! — Kto to był? — zwracając się do stojącego obok niego Pedra.

— Nie potrzeba go żałować — brzmiała obojętna odpowiedź złoczyńcy, — dowiedzieliśmy się niestety zapóźno, że mieliśmy jednego z największych łotrów na statku. Był to podobno osławiony Pedro de Branco, znany na dworze austryackim pod nazwiskiem Ramira del Olivarez — policya angielska ścigała go...

— Więc został już ukarany! Nie potrzebuje ziemskiego sędziego — stoi on już przed obliczem Sędziego najwyższego. Patrz pan, ani śladu „Jaskółki," ani tego łotra!

Pedro przyłożył lunetę do oczu i patrzał uważnie na morzę. Potem uśmiechnął się zwycięzko.

— Teraz rywal mój rzeczywiście nie żyje, — pomyślał — tym razem z grobu nie wstanie. Nikt mi już Felicyi nie wydrze! Morze nie wydaje swoich ofiar.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.

Wilki Gödöllö.

Na stepach węgierskich kwitły różnobarwne kwiaty i dzwonki pasącego się bydła brzmiały wesoło, zwiastując nadejście upragnionej zawsze wiosny.

W zamku cesarzowej Elżbiety, w uroczo położonem Gödöllö, zapanował nagle ruch i ożywienie, jak za dotknięciem laski czarodziejskiej. Służba przygotowywała wszystko na przyjęcie władczyni.

I zaledwie przygotowywania zostały ukończone, przybyła cesarzowa, aby jak zwykle, przepędzić kilka miesięcy na Węgrzech, wśród ubóstwiających ją poddanych.

Cesarzowa sama czuła się tu swobodniejszą i szczęśliwszą niż w Wiedniu, wolała ona podziwiać cuda przyrody, niż bale dworskie, a kilkagodzinna wycieczka konna w stepy lub polowanie było jej najmilszą w świecie rozrywką.

Kilka dni po przybyciu do Gödöllö miało się odbyć wielkie polowanie na jelenie.

Następca tronu arcyksiążę Rudolf i kuzyn oraz najszczerszy przyjaciel jego, arcyksiąże Jan, otrzymali także zaproszenia na to polowanie i przybyli natychmiast do Gödöllö.

Zaledwie słońce ukazało się na niebie, gdy orszak cesarzowej stanął na dziedzińcu zamkowym. Dzielne rumaki uderzały kopytami o bruk, aż się iskry sypały, a służący prawie je utrzymać nie mogli, tak się rwały do biegu w step rozległy. Piękny i malowniczy to był widok.

Arcyksiąże Rudolf liczył wówczas dwadzieścia jeden lat, a uprzejmość jego i dobroć serca zjednywały mu ogólną sympatję. Był on bardzo pod każdym względem, podobny do matki.

Paląc papierosa rozmawiał wesoło z ukochaym swoim przyjacielem, arcyksięciem Janem.

Jan uderzająco pięknym był mężczyzną. Ogorzałą, inteligentną twarz jego zdobił ciemny wąs i krótko przystrzyżona broda, a wielkie czarne oczy patrzały na świat z tak smutnym wyrazem, jak gdyby nigdy jeszcze szczęścia nie były widziały.

Teraz ukazała się na schodach cesarzowa.

W zielonej aksamitnej amazonce i szerokim białym kapeluszu wyglądała ona tak pięknie i młodo, że nikt nie byłby ją uważał za matkę dorosłego syna. Za nią szła śliczna Nelly i Stanizław Kosiński, któremu cesarz patentu oficerskiego jeszcze nie udzielił.

Zakochani wcale się tem nie martwili i nie przeczuwali, że cesarzowa wzruszona ich miłością i czując dla nich pewną wdzięczność za mimowolne przyczynienie się do odkrycia fałszywych brylantów, postanowiła zająć się nimi i nie rozłączać ich chwilowo.

Rudolf pospieszył naprzeciw matce.

— Dzień dobry, najjaśniejsza pani, zawołał przyciskając do ust jej rękę.

— Powiedz dzień dobry mamo, odrzekła z uśmiechem, i uściskaj mnie! We Wiedniu jestem cesarzową, tu jestem mamą mego kochanego Rudolfa!

Potem przyprowadzono konie i całe towarzystwo wyjechało z dziedzińca.



Cesarzowa Elżbieta konno na łowach.

Cesarzowa najlepszą swego czasu była amazonką. Najdziksze konie poskramiała umiejętnie, a żaden rów nie był za szeroki, żaden płot za wysoki, gdy siedząc na koniu, zwalczała jednę przeszkodę po drugiej.

Arcyksiążęta jechali obok niej, opowiadając najświeższe nowiny z stolicy.

— I wiesz mamo, odezwał się nagle Rudolf, że otrzymano wiadomości o owym nędzniku, który przez pewien czas występował w Wiedniu pod nazwiskiem Ramira del Olivarez?

— Ah, to ten, który się ożenił z damą dworską ciotki, hrabianką Felicyą Szelenburg, dodał Jan: „Biedna dziewczyna“.

— Cóż słyszeliście o nich? zapytała cesarzowa, marszcząc piękne brwi.

— Sprawiedliwość Boska dosięgła go, odrzekł Rudolf. W Hamburgu wsiadł na statek kupiecki, chcąc uciec do Petersburga, policya bowiem ścigała go, ale na pełnem morzu rozbił się statek i łotr ten zginął.

— A Felicya? Ocalona?

— O tem nic nie wiem, ale lepiej byłoby dla niej, aby umarła. Życie jej i tak już zmarnowane.

Cesarzowa umilkła i popędziła dalej. Arcyksiążęta widząc, że chce być samą, wstrzymali nieco swoje konie.

— Jesteś dziś tak poważnym Janie, zaczął Rudolf po chwili. Wyjazd z Wiednia nie był ci pewnie na rękę i zamiast polować na jelenie, wolałbyś może siedzieć w saloniku twej małej śpiewaczki.

Arcyksiążę Jan zbladł.

— Słuchaj, rzekł ostro, jeżeli mnie kochasz, to nie mów o tej kobiecie, którą teraz masz na myśli, w sposób tak lekceważący! Prawda, że Marya Stubel jest tylko śpiewaczką w teatrze, że razem z siostrą ciężko musi pracować na utrzymanie swoje i rodziców, ale z tem wszystkiem zasługuje zupełnie na szacunek uczciwych ludzi!

— A ty — czujesz dla niej więcej, niż szacunek....

— Tak! Kocham Maryę, pomimo, że jest biedną śpiewaczką i zaręczam ci, że nigdy w życiu inna nie będzie moją żoną! Albo ona, albo żadna!

— O Boże! Janie! Wiadomość ta cieszy mnie z jednej strony, ale z drugiej — przeraża mnie niezmiernie! Cieszę się, że znalazłeś serce kochające, ale bądź pewien, że ojciec mój nigdy nie pozwoli ci na to małżeństwo! I dla tej dziewczyny chcesz poświęcić karyerę i przyszłość całą?

— Ach Rudolfie, tyś nie kochał jeszcze — ty nie wiesz, co znaczy miłość! Czem jest w porównaniu do tego wysokie stanowisko, tytuły, honory? Drobnostką, której się chętnie wyrzeknę! A zresztą cesarz jest tak dobry, że prośby moje wzruszą go! On kocha twoją matkę, on mnie zrozumie!

— Moja matka! zawołał Rudolf, jeżeli kto, to ona ci pomoże! O tem nie potrzebujesz wątpić! Jeżeli ona uzna Maryą Stubel za godną twej miłości, to uczyni wszystko, co w jej mocy, aby was oboje uszczęśliwić.

— Niech ci Bóg zapłaci za te poczciwe słowa! Ale gdzież jest ciotka?

Arcyksiążę Rudolf obejrzał się w około.

— Znalazła pewnie ślad jelenia i popędziła za nim! — rzekł, poprawiając się na siodle: — Ale trzeba nam jej szukać. Boję się aby przypadkiem nie spotkała jakiego włóczęgi, albo co gorzej, aby jej nie napadł jaki dziki zwierz — ma ona wprawdzie strzelbę przy sobie i kordelas, nie wiele by to jej przecież pomogło.

I obydwaj pospieszyli żywo naprzód.

Cesarzowej jednak nie znaleźli i pomimo kilkugodzinnego błąkania po stepie nie widzieli nawet jej śladu.

— Wróciła już pewnie do zamku — rzekł Jan. — Odpocznijmy tu trochę i jedźmy także do Gödöllö!

— Dałby Bóg — odpowiedział Rudolf — abyś się nie mylił. Lękam się pomyśleć — gdyby matkę moją miało spotkać jakie nieszczęście....

— Nie obawiaj się! Twoja matka jest tu wszędzie, jak w domu, a Węgrzy zanadto ją kochają, aby mieli jej coś złego wyrządzić! Drapieżnych zwierząt nie ma tu wcale.

Książęta zeskoczyli z koni, usiedli pod rozłożystemi drzewami, i dobywszy zabranych posiłków z torb myśliwskich, zaczęli jeść skromny podwieczorek z wielkim apetytem.

Nagle zaszumiało coś w gęstwinie. Rudolf schwycił strzelbę, myśląc, że zwierz jakiś ich napada, ale zamiast wilka lub niedźwiedzia ujrzał wychodzącą z zarośli młodą, ładną i dziwnie ubraną kobietę. Arcyksiążęta zdumieli.

Była to cyganka.

Na widok siedzących pod drzewem myśliwych zatrzymała się, i już chciała napowrót do lasu uciekać, gdy Rudolf wymówił kilka słów w cygańskim narzeczu, prosząc, aby została.

Młoda kobieta uśmiechnęła się i przystąpiła nieco bliżej.

— Zkądże przychodzisz, śliczna dziewczyno? zapytał Rudolf teraz.

— Znikąd.

— I dokąd idziesz?

— Nie wiem!

— Dziwnie brzmią te słowa z tak pięknych ust! Pójdź, napij się z nami wina!

Cyganka zbliżyła się, i wziąwszy kubek wina z rąk arcyksięcia Jana, wypiła go bez namysłu.

— Nie widziałaś przypadkiem jakiej pięknej pani na koniu? — zapytał Rudolf po chwili.

— Nie, ale znalazłam w lesie tę rękawiczkę!

Mówiąc to, wyjęła z kieszeni wytworną damską rękawiczkę i podała ją arcyksięciu.

— Gdzie znalazłaś ją? — zawołał Rudolf, poznając na pierwszy rzut oka własność matki.

— Kilka mil ztąd — na stepie!

— Ah, więc odważyła się sama na step! Byleby jej tam jakie nieszczęście nie spotkało!

— Kto step zna — rzekła cyganka — ten się niczego obawiać nie potrzebuje! Ale kto go nie zna, — o to niebezpiecznie! Bo tam są wilki! Wilki!

— Ależ one uciekają przed ludźmi, odezwał się Jan.

— O nie, przeciwnie, napadają ich, mianowicie gdy są głodne! Ale tam są jeszcze inne wilki — w ludzkiej postaci....

— Spieszmy się, — zawołał Rudolf wstając szybko. — Musimy jej szukać, a ty, — rzekł do cyganki, — prowadź nas. Bądź pewną hojnego wynagrodzenia!

— Dobrze, ale poczekajcie jeszcze chwilę! Ja, Sagunta, muszę wam najpierw podziękować za wino — jeżeli chcecie, będę wam wróżyła z ręki — przepowiem wam waszą przyszłość — o, ia znam się na tem!

Arcyksiąże Jan podał jej natychmiast rękę.

Sagunta wpatrywała się długo w liczne linijki na dłoni, nareszcie spojrzała na Jana i rzekła poważnie:

— Wasza przyszłość bardzo jest dziwną! Widzę tu ptaki morskie, okręt na morzu — burzę — wicher — ah, tam skała, o którą się okręt rozbija, ale orzeł morski wzbija się wysoko — gołąbek tuli się do niego — i znów pogoda, spokój i słośce! Morze zupełnie już ciche!

— Nie rozumiem tego, zawołał Jan. Orzeł i gołąbek— no, to jeszcze pojmuję, wiem, kto to ma być, ale morze — skały i burze, tego nie wiem!

— Mówiłam tylko to, co widziałam, rzekła Sagunta.

— Teraz na mnie kolej, odezwał się Rudolf, wyciągając rękę.

Cyganka ujęła delikatną rękę arcyksięcia, spojrzała uważnie na dłoń i krzyknęła przerażona.

— Co to znaczy? rozśmiał się Rudolf. Czyś tam ducha zobaczyła?

— Nie!

— Więc cóż takiego?

— Nie mogę powiedzieć!

— Ale ja żądam tego!

— Ach, panie, zaczęła Sagunta, muszę ci być posłuszną! Bo nad głową twoją unosi się korona, ale ona nigdy na czole twem nie spocznie. Zamiast korony — wieniec śmiertelny — biała róża, kwiat grobu! Ach, nie wierzcie mi, zawołała, załamując ręce, nie wierzcie mi! kłamałam tylko, nic więcej!

Ale arcyksiążę odwrócił się i w oczach jego błysnęły łzy....

— Jak możesz być tak nierozsądnym i wierzyć w brednie cyganki, szepnął Jan. A teraz spieszmy się! Ja wezmę cygangę na mego konia — ona musi nam pomódz w szukaniu twej matki! Dalej w drogę!

* * *

Cesarzowa Elżbieta jechała sama w lesie.

Zatopiona w myślach, oddaliła się mimowoli od swego orszaku, a dworzanie sądząc, że chce być samą, zwrócili się w inną stronę.

Nagle cesarzowa ściągnęła lejce i koń jej stanął. O sto kroków przed nią pasł się wspaniały jeleń na trawie. Zwierzę nie przeczuwało widocznie wcale blizkości człowieka, przechadzało się bowiem swobodnie tu i tam, nie podnosząc swej kształtnej głowy, a w cesarzowej odezwała się na widok wspaniałego tego jelenia, żyłka myśliwska. Z błyszczącemi oczami podniosła swoją małą, wytworną strzelbę i już zamierzała kurek nacisnąć, gdy koń jej rzucił się niespodziewanie naprzód i szelestem zwrócił na siebie uwagę jelenia.

W jednej chwili zerwało się zwierzę do ucieczki.

Ale cesarzowa była na to przygotowaną.

— Dalej, ah dalej, zawołała, dotykając szpicrutą wysmukłej szyi wierzchowca.

Koń, jak gdyby rozumiejąc, o co chodzi, popędził jak wicher za jeleniem.

Ah, jakie wspaniałe polowanie! Królowa ściga króla lasu!

Jeleń przeczuwa, że walczy o życie, wie, że każda chwila zwłoki śmierć mu przyniesie, wytęża więc wszytskie siły i mknie lotem strzały, wyszukując instynktem najmniej dostępne drogi. Przeskakuje parowy, pnie drzew, pędzi przez pagórki i stara się zmylić swój ślad.

Ale cesarzowa zna te wybiegi. Raz zdaje jej się, że już go ma tuż przed sobą i strzela.

Strzał chybia i to więcej jeszcze podnieca jej zapał.

Jeleń zwraca się w stronę stepu i teraz nie ujdzie już zguby. Biedny, najgorszą wybrał drogę! Ale siły jeszcze mu nie ustały i ogromnemi skokami wpada na nieskończoną równinę.

Cesarzowa goni za nim, zapominając, że w zamku czekają na nią z niepokojem, że czas szybko uchodzi, i że jest tutaj zupełnie samą, oddaloną o kilka mil od swych dworzan.

Jedyną jej myślą, jedynem pragnieniem w tej chwili jest zwalczenie dumnego wroga. Teraz pogoń długo już trwać nie może, odległość zmniejsza się coraz to więcej i można już nieomal obliczyć chwilę, w której śmiertelny strzał padnie. Jeleń ostatniemi wysiłkami zdąża do gęstych zarośli, które jak wyspa zielona widnieją na stepie, jeżeli tam zdoła się schronić, to ocalony! Dobrowolnie nie wyjdzie z ukrycia, a cesarzowa cajej nocy czekać na niego nie może!

Wie ona o tem, i dla tego podnosi znów strzelbę. Nie pozwoli mu się ukryć w gęstwinie!

Nagle jeleń rzucił się w bok i podniósł głowę.

Cesarzowa zauważyła to.

— Spostrzegł inne jakieś niebezpieczeństwo, pomyślała. Co to może być?

Zanim zdążyła się obejrzeć, zanim zdążyła konia zatrzymać, wypadło z zarośli ciemne jakieś zwierzę i z przeraźliwem wyciem skoczyło na jelenia.

Szlachetne zwierze upadło na ziemię.

Ale i koń cesarzowej zaczął się teraz niepokoić, strzydz uszami i wspinać, i żadna inna amazonka nie byłaby mogła się utrzymać na siodle.

Elżbieta teraz dopiero poznała całe niebezpieczeństwo.

— Wilk! szepnęła, to wilk! Porywa mi moją zdobycz! Ale czekaj, nie pozwolę ci bezkarnie zabierać to, za czem tyle godzin goniłam!

Strzał padł. Ręka cesarzowej nie drzała i olbrzymi wilk padł nie żywy obok swej ofiary.

Teraz zbliżyła się cesarzowa do jelenia, a serce jej przepełniła głęboka litość. Wspaniałe zwierzę leżało z przegryzionym karkiem, z rany głębokiej krew strumieniem spływała, a wielkie, smutne oczy spojrzały na nią z takim wyrazem, jak gdyby chciały powiedzieć: tyś winna mej śmierci.

Cesarzowa nie namyślała się długo. Zeskoczyła z konia i nabiła strzelbę.

— Skrócę przynajmniej twoje męczarnie, rzekła głośno, i przyłożywszy strzelbę do głowy jelenia, zabiła go na miejscu. Potem przywiązała konia do drzewa, zdejmując mu cugle a zmęczone i zgłodniałe zwierze zaczęło chciwie jeść świeżą i wonną trawę.

Cesarzowa usiadła na pniu i teraz dopiero przyszło jej na myśl, że to późny wieczór, i że w zamku niepokoić się o nią będą. Ale bądź co bądź, postanowiła tu chwilę odpocząć, bo i jej i wierzchowca siły całkiem już były wyczerpane.

Nagle koń zarżał głośno i cesarzowa podniosła głowę, a to co ujrzała, ścięło jej krew w żyłach.

Z gęstych zarośli wysuwały się jakieś czarne, niewielkie postacie, a błyszczące oczy wpatrywały się wnią z przerażającą chciwością. W jednej chwili zauważyła kilkanaście takich okropnych oczu!

Zabity wilk i jeleń znęciły całe stado wilków, ale teraz odkryły one coś lepszego — świeżą krew człowieka!

Cesarzowa odzyskała szybko przytomność umysłu.

Wiedziała, że jest samą, że nikt jej na ratunek przyjść nie może, i że straszne grozi jej niebezpieczeństwo.

Wstała więc wolno i zbliżywszy się do konia, odwiązała go, poczem wskoczyła na siodło, i wierny Ali puścił się jak strzała naprzód.

Najgorszem było to, że cesarzowa nie mogła się zwrócić na drogę wiodącą do Gödöllö — droga ta wiodła przez las, a właśnie z lasu szły wilki. Musiała więc pędzić naprzód, nie znając stepu. Ale mniejsza o to, byleby uciec przed temi dzikiemi zwierzętami, które teraz z straszliwem wyciem puściły się w pogoń za zdobyczą.

Koń Elżbiety, prawdziwy Arab, zdawał się niedotykać ziemi, ale jak długo mógł jeszcze wytrzymać w tym szalonym biegu? Zmęczony całodziennem prawie ściganiem jelenia, mógł każdej chwili wypowiedzieć posłuszeństwo, a wtenczas...

Cesarzowa nabiła strzelbę — w torebce miała jeszcze sześć kul. Cóż to znaczyło w obec całego stada wilków! Ali zaczął zwalniać biegu i cesarzowa widziała straszną śmierć przed sobą. Ale postanowiła życie drogo sprzedać i bronić się do ostatka.

Oprócz strzelby miała jeszcze mały kordelas, była to jej ostatnia ucieczka.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KRONIKA.

Stoję sobie przy oknie, natężam kronikarski mózg i myślę sobie tak: o wielkim poście nie ma już co pisać, bo każdy rad, że się do kiełbas smacznych i szynek tłustych szczęśliwie przedostał; nad złym stanem zdrowotności po świętach także niewłaściwem byłoby się rozwodzić, bo każdy wie, że wyposzczone żołądki nowoczesne, przeładowawszy się na święceniach w jednym lub kilku domach, buntują się bezpośrednio po świętach wielkanocnych przeciwko starodawnym obrządkom i w tem zbuntowaniu mobilizują bardziej niż kiedykolwiek pomoc lekarską; a więc pisać o wiośnie, która nam zajaśniała początkowo wspaniałym słońca blaskiem, a zaraz potem sypnęła śniegiem i dmuchnęła wiatrem, aż kości przejmowało, o tej wiośnie, która mogąc być piękną i wdzięczną, sama się oszpeciła i obłociła? Nie! nie opłaci się.

Bębnę niecierpliwie po szybach i patrzę na pusty dziedziniec. Szukam natchnienia. A tu masz! Zamiast natchnienia zjawia się na podwórzu kataryniarz. Jeszcze jego właśnie potrzeba, ażeby kronikarzowi do reszty zepsuć fantazyą — pomyślałem sobie i już chciałem otworzyć okno i krzyknąć, ażeby nie zakłócał spokoju mieszkańcom, ale jakoś żal mi się zrobiło biedaka. Przypomniało mi się prawo warujące każdemu obywatelowi „wolność procederową“, przypomniało mi się, że nie godzi się tej wolności nikomu odbierać, a tem mniej kataryniarzowi, który wiernie służy tak pięknej sztuce jak muzyka, a nie winien temu przecież, że nie jest zaraz ci tam Szopenem nieboszczykiem, Paderewskim lub Śliwińskim. A że mu robota za pomocą korby gładziej idzie niż mnie kronika z pomocą pióra — czyż godzi się zawiścić mu? Niech gra!

I zwiesił naładowaną melodyami skrzynkę z grzbietu po przed siebie, odsłonił zielony pokrowiec, uchwycił za korbę, przeleciał spojrzeniem po oknach, jakby dla upewnienia się, czy jest komu grać i zagrał. Rozpoczął starym naszym hejnałem „Kiedy ranne wstają zorze“, następnie zagrał dumkę „Na dolinie zawierucha“, potem obertasa i mazura Czerkaskiego. Obejrzałem się na okół i spostrzegłem, że coraz więcej okien się uchylało. A gdy z kolei zaintonował, pieśni „Patrz Kościuszko na nas z nieba“ i „Polak nie sługa“, wtedy posypały się w papierkach groszaki i nikle, ja zaś pomyślałem sobie, że kataryniarz ten ma więcej natchnienia dla narodu w swojej skrzynce, niż ja w swej podłysiałej czaszce, że o wiele wymowniej potrafi przemówić do serc kręcąc kataryNką, niż ja gryząc pióro, i że — przepraszam kochanego wydawcę — popłatniejszym jest jego proceder, niż przeciętnego kronikarza.

W jednym tylko wypadku — tak sobie pomyślałem dalej — zbliża się los kronikarza do losu kataryniarza, a mianowicie, gdy pierwszy pisze a drugi gra pod hasłem „Jeszcze Polska nie zginęła“, — obaj wtedy mogą powędrować do kozy „wegen groben Unfugs“ — gdy łaska, lub „wegen Aufreizung zu Gewaltthätigkeiten“, — gdy niełaska.

Ta wspólność jeszcze sympatyczniej usposobiła mię do popularnego muzyka, niż pienia tak miłe zawsze dla naszego ucha — ale on snadź nie był nastrojony do żadnych sentymentów wzajemnych, rozwinął ostatni zwitek papieru, obejrzał sobie zawartą w nim monetę, schował, przerzucił katarynkę na plecy, uchylił spłowiałego kapelusza i poszedł za chlebem.

A ja począłem się zastanawiać, jakby to było, gdyby zamiast do naszego domu, zamieszkałego wyłącznie przez polskich lokatorów, poszedł grać pod oknami redakcyi „Posenerki“. Zdaje mi się, że te melodye polskie poszarpałyby hakatystycznym myślicielętom nerwy i zdemolowałyby mózgi — a kataryniarz miałby wtedy niezawodnie proces wegen „fahrlässiger Körperverletzung“ i musiałby odszkodować i nerwy i mózgi podług taksy rzeczoznawców i ekspertów.

Jak z nerwami, nie wiem, ale co do odszkodowania tych mózgów, to przypuszczam, iż ono nawet kataryniarza nie mogłoby zrujnować.

Przypuszczenie moje nie jest wcale ex abrupto. Ma ono doskonałe uzasadnienie w obwieszczonej w ostatnich dniach przez „Posenerkę“ nowinie o tajnej a straszliwej organizacyi Polaków, nowinie bardzo ciekawej — dla psychiatrów. Jak często się zdarza u chorych umysłowo — tak i „Posenerka“ nie od razu objawiła groźny stan swych władz duchowych, lecz nasamprzód zapowiadała, że za kilka dni powie coś, co świat zadziwi. I rzekła wreszcie a świat zdumiał, ale nie nad tem, co powiedziała, lecz jedynie, że powiedziała i że bzik jej polakożerczy tak zastraszające zdradza symptomaty. Oto po tajemniczej zapowiedzi w dniu 1 kwietnia obwieściła swoim czytelnikom, że istnieje wśród Polaków groźna organizacya „wolnych braci“, zamierzająca w najbliższym czasie ustanowić polski rząd z królem na czele, że organizacya ta ma dwunastu senatorów czy nawet ministrów, swoje wojsko z oficerami na czele, że związana jest przysięgą bezwzględnej wierności i posłuszeństwa względem władz przełożonych a buntowania się przeciw władzom państw zaborczych i t. p. Każdy zrozumiał od razu, że napad obłędu nawiedził „Posenerkę“, ale największy idyotyzm objawił się w spekulacyi.

Oto „Posenerka“ usiłowała złapać nowych a przytrzymać uciekających starych abonentów zapowiedzią wielce ciekawych o Polakach tajemnic — w tym łapichłopskim zamachu idjotyczny szał objawił się najstraszniej: „Posenerka“ zdradziła w nim ideę fixe, że jeszcze są i mogą być ludzie, którzy pismo to biorą na seryo. Choróbsko jej umysłowe postępuje snadź szybko.

Mówią też, że pewien dowcipniś znający zboczenia umysłowe „Posenerki“, urządził jej „prima aprilis“ przesyłając humorystyczną a poprzednio już zapowiedzianą nowinę w przeddzień 1 kwietnia. Jestto o tyle prawdopodobne, że „Posenerkę“ na każdy kawał antypolski wziąć można.

Inni znów mówią, że się zakłada towarzystwo samej elity idyotów w punkcie polakożerstwa zwaryowanych, lecz że brakło dotąd odpowiedniego organu i naczelnego kierownictwa. Jeden z członków usiłował dowieść, że o to kłopotu niema, założył się nawet, wysłał w tym celu wiadomość o polskiej organizacyi do redakcyi „Posenerki“ i zakład wygrał, co naszem zdaniem wcale nie było sztuką.

O wiele większą sztukę, pomysłowość i znajomość estetycznych piękności Wielkopolski okazał poznański informator petersburskiego „Kraju“ p. Bart, opisując swą rozmowę z p. Karolem Szczanieckim, prezesem „Związku ziemian.“ W toku bowiem dostarczonej „Krajowi“ informacyi o celach i działaniu „Związku“ pisze dosłownie tak:

— *„Jaki jest zakres czynności Związku? — powtarza bezwiednie na pytanie pan Szczaniecki, gładząc swą piękną, wachlarzowatą brodę, niewątpliwie jedną z najpiękniejszych w Poznańskiem.“* —

Czy to nie sztuka i nie potęga estetycznego zmysłu, referując o realnem znaczeniu i działalności ratunkowej „Związku ziemian“ niezapomnieć o estetyce, niezapomnieć o pięknej wachlarzowatej brodzie, niewątpliwie jednej z najpiękniejszych w Poznańskiem?“

Chochlik.

— Otrzymujemy z prośbą następującą:

Odezwę do drukarzy.

Po wszystkich miastach i miasteczkach Księstwa Pozn., Prus Z., Śląska, wogóle całych Niemiec rozsiani nasi drukarze polscy, błąkają się samopas, nie wiedząc nieraz, jakby się w gromadę złączyć, nie mając żadnej sposobności do łączenia się zawodowego w jakie ognisko wspólne, bywają w rozmaity sposób narażani na łączenie się w Towarzystwa, nie odpowiadające ich własnym wymaganiom, wychodzące nieraz na ich niekorzyść zawodową i materyalną.

Po dzień dzisiejszy uczuwać się daje coraz większa potrzeba łączności w organizacye zawodowe, mające wszędzie jeden i ten sam cel: wspólną obronę przeciw wszelkiemu wyzyskowi, jaki przybiera coraz szersze rozmiary, bądź to przez spekulacye, niesumienną konkurencyą, lub przez nieracyonalne gniecenie kapitału.

Jednostka sama nic nie zdziała; ani sobie, ani społeczeństwu nie przyniesie korzyści, owszem tamuje postęp nierozważnie — nieraz nieświadomie. Gromada to wielki człowiek — mówi ruskie przysłowie — i tylko gromada solidarnie złączonych kolegów przyczynić się może do polepszenia swojego bytu i co najważniejsza do podniesienia sztuki drukarskiej do dawniejszego znaczenia — do znaczenia rzeczywistej sztuki wyzwolonej.

Koledzy! Przemawia do Was kolega równy Wam, mający na celu wyzwolenie nie tylko sztuki drukarskiej, która dziś do podrzędnego zeszła znaczenia, ale i do podniesienia moralnego i materyalnego wszystkich swoich Kolegów, a skuteczne doprowadzenie do celu stworzyć może jedynie silna organizacya zawodowa — zestrzelenie myśli i dążeń w jedno ognisko!

Istniejące od lat 33 w Poznaniu Stowarzyszenie Drukarzy Polskich, które dotąd zorganizowało się tylko prawie wyłącznie na Poznań sam, podaje dziś wszystkim rozproszonym po całych Niemczech a nie zorganizowanym towarzyszom koleżeńską dłoń z tem mocnem przeświadczeniem, że nie napróżno ją wyciąga, że będzie mogło ścisnąć wszystkich Kolegów, a tem samem stworzyć własny silny

Związek Drukarzy Polskich

na podstawie wspólnych interesów, z którym poważnie każdy liczyć się będzie musiał.

Moralność to pierwsza dla każdego człowieka nauka, a ekonomia druga. Uczmy się przeto ekonomii w związku i przez związki a dojdziemy do celu.

Kolegów wszystkich prosimy, by odezwę tę rozszerzali pomiędzy tych wszystkich kolegów, którzy nie będą mieli sposobności jej czytać, a gorliwsi niech namawiają do wstępowania do naszego związku.

Wszelkich bliższych informacyi, oraz zgłoszenia przyjmuje prezes St. Nowicki w Poznaniu, ul. Półwiejska 21, do którego z wszelkiemi listami odnosić się należy.

Z koleżeńskiem pozdrowieniem
Stowarzyszenie Drukarzy Polskich
w Poznaniu.

Wszystkie Redakcye także pism nie politycznych prosimy również o łaskawe umieszczenie powyższej odezwy.

Wiadomości.

— *Za bardzo liczne życzenia świąteczne nadesłane nam z blizka i z daleka składamy Szanownym Czytelnikom, Zwolennikom, Przyjaciołom i Współpracownikom naszego pisma najserdeczniejsze podziękowanie.*

Redakcya.

— **Święta** spędziliśmy przeważnie w domu przy ogniskach rodzinnych, gdyż pogoda spłatała nam nielada figla, uraczywszy nas na dni świąteczne chłodem, śniegiem i deszczem.

W świątyniach Pańskich zebrały się tłumy wiernych; poza tem ruch uliczny był bardzo ograniczony. Wogóle niepogoda wpłynęła fatalnie na ruch świąteczny z wyjątkiem teatru, który podczas świąt tak na przedstawieniach popołudniowych jak też wieczornych był przepełniony publicznością, oklaskującą ustawicznie wyborną grę artystów naszych.

— **Pan Franciszek Richter** w Rożdzieniu na Górnym Śląsku ma agenturę „Pracy" i „Czytelni polskiej", oraz agenturę wydawnictwa Karola Miarki z Mikołowa (książki treści religijnej i powieściowej.)

— **Z teatru.** Kto pragnie dobrze się zabawić, niech nie omieszka pospieszyć do teatru na sobotnie premierowe przedstawienie arcywesołej komedyi ze śpiewami, wzrosłej na wiedeńskim gruncie, noszącej tytuł: „Raz się tylko żyje! Jest to wykwit prawdziwego humoru.

W niedzielę po południu o 3: „Wesoła dwójka" operetka Lucassa. Ceny do połowy zniżone.

Tego dnia wieczorem po raz drugi: „Raz się tylko żyje."

— **Konfiskata.** Policya tutejsza skonfiskowała ostatni (12) numer „Komara", pisma humorystycznego, wychodzącego w Poznaniu. Równocześnie odbyła się konfiskata w innych miastach, jak n. p. w Gnieźnie i Toruniu, gdzie policya zabrała paczki jeszcze nie otwarte. Podobno prokuratorya dopatrzyła się w jednej z rycin obrazy cesarza.

— **Gniezno.** W pierwsze święto Wielkanocne przed południem zwiedzili stróże bezpieczeństwa Generalną Agenturę „Pracy" i „Komara" miesięcznika satyryczno-ilustrowanego u p. Romana Mejerowicza przy ul. Trzemeszeńskiej nr. 19 i tamże zebrali całą paczkę wcale nie otworzoną nr. 12. „Komara." P. M. wcale o nadesłaniu paczki nie wiedział, ponieważ dzieci poprzednio późnym wieczorem w jego nieobecności takową odebrały. Głównie chodziło o pewną ilustracyę.

— **We wtorek**, dnia 8 kwietnia r. b. rozpoczyna się w naszej Szkole Handlowej nowy rok szkolny. Przyjmowanie nowych uczniów odbędzie się w poniedziałek dnia 7 b. m. od godz. 8—9 wieczorem w lokalu Szkoły, Stary Rynek nr. 61 III piętro, róg ul. Wrocławskiej. Lekcye odbywają się 3 razy tygodniowo od godz. 8—10 wieczorem. Kierownictwo naszej Szkoły znajduje się w ręku wytrawnych i doświadczonych w tym względzie nauczycieli.

Młodzieży handlowej szkoła nasza nastręcza sposobność przyswojenia sobie w dogodny i przystępny sposób niezbędnych wiadomości z dziedziny handlowej, bez których żaden kupiec w dzisiejszych czasach istnieć nie może.

Prosimy i zachęcamy Szanownych pp. pryncypałów, którzy dobro powierzonej ich pieczy młodzieży mają na oku, aby zechcieli uczni swych posyłać do naszej Szkoły Handlowej, co jedynie na pożytek obydwóch stron wyjść może.

Zarząd
Tow. Młodzieży Kupieckiej w Poznaniu.

— **Od Towarzystwa Przemysłowego** w Inowrocławiu odebraliśmy z prośbą o zamieszczenie następujące Oświadczenie:

„Wszystkim bratnim Towarzystwom i Szanownej Publiczności zniewoleni jesteśmy zakomunikować, że aczkolwiek Towarzystwo nasze istnieje lat 30, to jednak nie powzięło dotąd uchwały obchodu 30 rocznicy. Zapowiedzianą taką rocznicę na dzień 6 kwietnia r. b. urządza sześciu członków, którzy przed kilku miesiącami od naszego Towarzystwa odpadli, stucznie kilkunastu do siebie przyciągli i którzy pod firmę Towarzystwa naszego się podszyli.

M. Wesołowski, prezes. — L. Teubert, sekretarz.
Staremiasto 66.

— **Dra Luegera**, nadburmistrza wiedeńskiego, pałające ku niemu nienawiścią żydostwo, oskarżyło fałszywie, że pozwala na zanieczyszczanie wodociągów odpływami z oprawczych zakładów. Śledztwo urzędowe wykazało nieprawdę zarzutów i niegodziwość żydowską. Do redakcyi naszej nadszedł w tych dniach wyjaśniający rzecz okólnik dra Luegera wraz z odbitką dowodów. Jest to dla nas sprawa podrzędnej wagi, a okólnik nadburmistrza z Wiednia, nazywamy przez „poważny" czy „najpoważniejszy" dziennik „listem z dowodami i z prośbą" jest zbytecznym dla polskiej ludności tutejszej.

Oryginalnem jest tylko to, że w mowie będący dziennik nawet ze sprawy wiedeńskich wodociągów wodę ciągnie do swych łamów jedną lub 2 gwiazdkami dekorowanych.

Ruch w Towarzystwach.

— **Walne zebranie** Tow. gimnast. „Sokół“ **w Sremie**, odbędzie się w niedzielę dnia 6-go kwietnia r. b.o godzinie 3-ciej po południu na sali hotelu Victorii. Porządek obrad: zagajenie, odczytanie protokułu, sprawozdania sekretarza, skarbnika, bibliotekarza, komisyi rewizyjnej kasy, biblioteki i przyrządów, wybór nowego wydziału.

Wydział.

Rychlewski, sekretarz.

— **Drezno.** Koło śpiewackie im. Chopina urządza w niedzielę 13-go kwietnia na sali „Zur Herzogin Garten“ Ostraallee 15 b. koncert z współudziałem pianisty królew. konserwatoryum pana M. Göhlera. Program obejmuje deborowe rzeczy swojskiej kompozycyi. Prosimy o łaskawe przybycie szan. rodaków Drezna i okolicy. Początek o godz. pół do 8-mej wieczorem.

Zarząd.

Od Redakcyi.

Panu Józefowi Kr. w Szymborzu. — Wobec tylu procesów, konfiskat, uwięzień i t. d. i t. d. będziesz nas Pan miał za wytłomaczonych, żeśmy nie dotrzymali obietnicy. O klisz napiszemy do „Dziennika Kujawskiego“.

Panu Wiktorowi Br. w Wronkach. — Napisz Pan w tej sprawie krótko, treściwą korespondencyą dla „Pracy“, a rzecz poruszymy.

Panu Emilowi K. w Bielsku. — Zastosujemy się do Jego życzenia.

Ferkowi w Krakowie. — Wiersz „Do Boga“ nie nadaje się do „Pracy“.

Panu Kl. w Gnieźnie. — Tym razem wysyłka „Pracy“ się nieco opóźniła. Fakt poruszony trzebaby wpierw skonstatować, a potem się zażalić.

Pani Zofii Skrz. w Wejcinie. — Przyznajemy Jej najzupełniejszą słuszność, ale żadna redakcya za reklamy i ogłoszenia nie odpowiada. Zresztą kto wzmiankowane ogłoszenie przeczytał z uwagą, ten natychmiast rozpoznać musiał, że ogłaszający wychodził tylko na „łapichłopstwo“.

Panu B. K. (znak B. S. 102) Borek. — Podług prawa mają pomocnicy, uczniowie i t. d. zatrudnieni w otwartych handlach mieć 10 godzin wypoczynku po pracy; jeżeli więc pracują do godziny 9-tej wiecz., to dopiero o godz. 7-mej rano potrzebują przyjść znów do pracy. — Prawo dozwala robić rozmaite wyjątki, których dla braku miejsca tu podawać nie możemy.

Panu Józefowi L. w Brześciu. — Zaabonuj Pan sobie „Ilustracyą Polską“ z Krakowa lub też „Wędrowca“ z Warszawy.

Wykaz składek

na fundusz wrzesiński.

(Ciąg dalszy).

Wolsztyn. Za pośrednictwem p. St. Miedzińskiego złożyli! Miedziński 2 m., I. K. 1 m., Rydlewski 2 m., W. Ł. 1 m., Schmidt 1 m., Zygmański 1 m., Kuczmot 1 m., Schultz 1 m., W. S. 1,50 m., L. Th. 2 m., Grono Polaków 17,11 m., Sikorski 1 m., Konieczyński 2,10 m., Kwiatkowski 50 fen., Kozłowski 3 m., Hajn Fr. 1 m., Hajn Wł. 1 m., N. N. 6 m., Skibiński 1 m., Szczerkowski 1 m., Drzewiecki 50 fen., W. D. 1 m., Wawrzyński 40 fen., Tomaszewski 25 fen., Kaczmarek 20 fen., Przybyła 20 fen., Roszak, Kiełpin 50 fen., Bajon, Wroniawy 50 fen., Witajewski, Wroniawy 50 fen., Różycki, Nieboża 50 fen., Krzyżanowski, Nieboża 50 fen., Gertner, Chobienice 50 fen., Marcinowski, Kłębowo 1 m., Chełmiński, Widzim 1 m., Antkowiak, Widzim 30 fon., Karólczak, Tłoki 20 fen.

Wieczajna p. Pamiątkowo. Za pośrednictwem p. Ruszczyńskiego złożyli: Ruszczyńskl 3 m., Dzieci N. N. 90 fen., Jza Ryszczyńska 1 m., Bąbliński 50 fen., kl. Musiał 40 fen., Olszewska 30 fen., Tomczak 50 fen., Pawlicki I 30 fen., Wlazlak 15 fen., Kąkól 30 fen., Wojtasiek 50 fen., Borkowski 50 fen., Ostrowski 45 fen., Adamczak 50 fen., A. Musiał 15 fen., Nowicki 20 fen., Michalski 50 fen., Hytry 30 fen., Mędel 15 fen., M. Lerczak 20 fen., Piechocki 25 fen., Konarczyk 15 fen., Golaw 50 fen., Kozłowski 5 fen., Lerczak II 15 fen., Pawlicki II 40 fen., Koślekowicz 40 fen., J. Smól 20 fen., Kowalek 50 fen.. Kaczmarek 50 fen., Woźniak 20 fen., Łębicz 20 fen., Wasyniak 20 fen., A. Lerczak 50 fen., Wroński 50 fen., Kasprzak 30 fen., Walenty Siekierski 2 m, Fr. Siekierski 1 m., Andrzejewski 50 fen., Kąkól 30 fen,, Sołtysiak 50 fen., M. Olszewski 20 fen., Adamski 50 fen., J. Grajczyńska 30 fen., W. Nowicka 30 fen. Folwark Sępno. W. Kaczmarek 2 m., S. Marczak 1 m. Barłóg 1 m., Skrzypczak 1 m., Szatan 1 m., J. Maćkowiak 50 fen., Kuligowski 50 fen., A. Lerczak 50 fen., W. Lerczak 40 fen., Grupa 20 fen., A. Kowaleska 50 fen.

Wattenscheid. Franc. Nowacki 3,50 m.

Wielonek. Gajke 3 m.

Wiedeń. Katarzyna Adamiak 2,56 marek.

Wągrówiec. Michał Szudziński 5,10 m., Jarosz 50 fen., Urbańczyk 50 fen., Stanisław Felski 2 m., Marcin Tolarzyński 2 m., N. N. 4 m., zebrane przez L. Wyduchowicza w gronie przyjaciół 4,61 m.

Wrocław. Maksymilian Kurczyński 3 m., kotlarze z fabryki lokomotyw za pośrednictwem p. J. Szczechowskiego 5 m.

Warszawa. Grono Poznańczyków 20 rubli.

Wilkowy G. Sląsk. N. Pajonk 1 m.

Wróblewice Galicya. Zebrane między dziećmi szkólnemi przez p. Wł. Regiera 2,60 kor.

Wilda. Walenty Płoszyński 5 m.

Wojnowice i folwark Łagwy. Stefan Haase 2 m., Władysław Szurmiński 2 m., W. Nowaczyk 50 fen., Zaczyńska Maryanna 50 fen., Koźlak Józefa 50 fen., Koźlak Weronika 50 fen., Bogacz Wiktorya 50 fen., Kowalewska Maryanna 50 fen., Banaś Katarzyna 50 fen., Kołodziej Zuzanna 45 fen., Warzańska 20 fen., K. D. 2,45 fen., Skotarek Józef 50 fen., Antoniewicz Melchior 30 fen., Rybicki Jan 50 fen.. Nowak Walenty 20 fen., Banaś Walenty 20 fen., Przybylski Józef 10 fen., Żybura Walenty 20 fen., Musiał Andrzej 10 fen., Kasperczak Jan 50 fen., Dybionka Marcin 50 fen., Marciniak Franciszek 20 fen., Napierała Andrzej 15 f., Ratajczak Melchior 50 fen., Szajstek Maciej 50 fen., Musiał Marcin 20 fen., Burkuś Tomasz 20 fen.. Połka Wincenty 10 fen., Dybionka Walenty 10 fen., Kachel Walenty 20 fen., Hałaś Jakób 50 fen., Antkowiak Szczepan 20 fen., Napierała Walenty 30 fen., Dybionka Franciszek 20 fen., Podżerek Michał 30 fen., Dybionka Walenty 10 fen., Kokot Antoni 20 fen., Pakuła Tomasz 20 fen. Duszak Józef 20 fen., Piątek Tomasz 10 fen. Ratajczak Michał 40 fen., Szajstek Franciszek 20 fen., Bogaczyk Tomasz 20 fen., Walkowiak Antoni 15 f., Preis Wojciech 1 m., Dybionka Wawrzyn 1 m., Pawlak Jan 20 fen., Owczarczak Andrzej 20 fen., Gruszczyński Paweł 30 fen., Szajstek Marcin 30 fen., Przybylski Jan 10 fen., Borowczyk Andrzej 30 fen., Dybionka Mikołaj 20 fen., Podżerek Jakób 10 fen., Gawłowski Walenty 50 fen., Tylkowski Jakób 30 fen., Gmerek Maciej 30 fen., Wejnowski Józef 50 fen., Dobiała Jan 30 fen., Walter Piotr 10 fen., Lorenc Stanisław 10 fen., Włódarczak Michał 10 fen., Nowacki Jan 20 fen., Rutkowski Walenty 20 fen., Stawajak 20 fen., Jadek 50 fen., Pempera 10 fen., Królikiewicz 20 fen., Przybysz 30 fen., Bocian 40 fen., Rutkowska 20 fen., Kunikowski 20 fen., Jutkowiak 20 fen., Kowalewski 25 fen., Nowacki Andrzej 50 fen., Mazurek 50 fen., Borowczyk 30 fen., Wróblewski Walenty 50 fen., Wróblewska Józefa 20 fen., Mikołajczak Marcin 50 fen., Czubek Józef 30 fen., Zybura Franciszek 20 fen., Szober Jan 30 fen., Dudek Jan 20 fen., Laufer Marcin 25 fen., Kornosz Antoni 30 fen., Kaczmarek Michał 30 fen., Kaczmarek Marcin 30 fen, Hańczewski Stanisław 1 m., Wojcierzak Antoni 40 fen., Prokop Franciszek 20 fen., Czubek Jan 40 fen., Goździor Walenty 20 fen., Wycik Franciszek 20 fen.

Wielki Chełm G. S. Jan i Wojciech Radwańscy 13 m.

Witryłów Galicya. Henryk Jaworski 2,90 m.

Zaniemyśl. T. Bielawski 4 m.

Żółkiew Galicya. Roman Biliński 20 kor., Aleksander Sawicki 14 kor., Władysław Michałowski 6 kor., Gmina izraelicka 30 kor.

Złoczewo Galicya. Marya Zalewska 1 kor., Dr. Zalewski 2 kor., Dr. Jarosz 2 kor., Eustachy Zalewski 1 kor. Fr. Bartosiak 1 kor., Zabrzycki 1 kor., Minczakiewicz 1 kor., Wawrzynowski 1 kor., Jadwinia Kondratowiczowa 2 kor, Majkowski 1 kor., Brzeziński 1 koron, Grabowski 1 kor., Szum. 0,30 kor., Bakaj 0,20 kor., Pejer 0,50 kor., zebrane w cukierni p. Jul. Zawilińskiego 4,27 marek.

Zacharzewo. M. Kornobis 2 marki.

Żnin. Obywatele 114,50 m.

Zgorzelice. Za pośred. p. Jana Romały Tow. polskich robotników 9,02 marek.

Zelazno. J. Norkowski 3 m.

Zembowo. Zebrane za pośredn. p. Stefci Jaworskiej: Stefcia Jaworska 1,50 m., Weronika Loba 75 fen., Weronika Lehman 60 fen., Walenty Paś 50 fen., Petronela Dziudzia 15 fen., Maryanna Piechocka 10 fen.

Zabrze. Franc. Hobik 2,60 m.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

HUMORYSTYKA.

RODACY.

Ej, bośmy taki naród
Że poszukać het!
. . . .
Kto miał dobrej myśli zaród,
To go kijem w grzbiet.
Ktoś odważnie w zacnej sprawie,
Zabrał jawnie głos,
Krąży plotka po Poznaniu,
„On chce nabić trzos!"
Ktoś ofiarę hojną składa...
Wnet zawistnych ćma,
Komu może, w kółko gada:
„On w tem geszeft ma."
Ktoś oszczędził trochę mienia...
Huż go! hejże! ha!
„Skąpiec, serce miał z kamienia,
Co grosz ludzka — łza."
I tak wszędzie bez ustanku
Oszczerstw nuta drga,
Od wieczora do poranku:
„Czemu on nie ja!"
Co bynajmniej nie przeszkodą,
Iż na wielki dzwon
Głosim śmiało: „Tylko zgodą
Zebrać można plon."
No... bo myśmy taki naród,
Co nie waży słów",
A że „w czynach" waśni zaród...
Inna kwestya znów.

X.

Litość amerykańska.

Przechodzący plantem kolejowym yankes spostrzega leżącego na szynach mężczyznę.

— Co pan tu robisz?

— Mój panie, zostaw mnie w spokoju i pozwól mi umrzeć... Zmęczony jestem jak koń tramwajowy!

— Ależ po tej linii chodzą pociągi zaledwie co parę godzin! Zaziębisz się jeszcze i dostaniesz kataru... Pójdź ze mną, a wskażę ci linię, gdzie co pię[ć] minut pociąg przechodzi.

W szkółce żydowskiej.

— Mojsie! ile jest gatunków zwie[]rząt?

— Trzy: mięsożerne, trawożerne i ko[]szerne.

U fryzyera.

— Czy można panu zmyć głowę?

— Nie trzeba, wracam dziś późno, t[o] i tak zrobi to moja żona.

Dziwna choroba.

Książę (po sutym ob[ie]dzie, zatoczywszy si[ę]) — Posłać natychmi[ast] po mego przyboczne[go] lekarza; zasłabłem n[a] trzęsienie ziemi!

W. STARK.

w Poznaniu Stary Rynek 81.

Nowości: w rękawiczkach, krawatach, parasolach i parasolkach, spinkach do mankiet i gorsu, wyrobach skórzanych.

Nowe zapachy w perfumach i mydłach z znanych fabryk Roger & Gallet & Ed. Pinand, Paryż. J. E. Atkinson Ltd. London.

Lekkie kalosze prawdziwe ruskie.

Starannie wykończone, prawdziwe safianowe i jelonkowe poduszki, w wszystkich wielkościach.

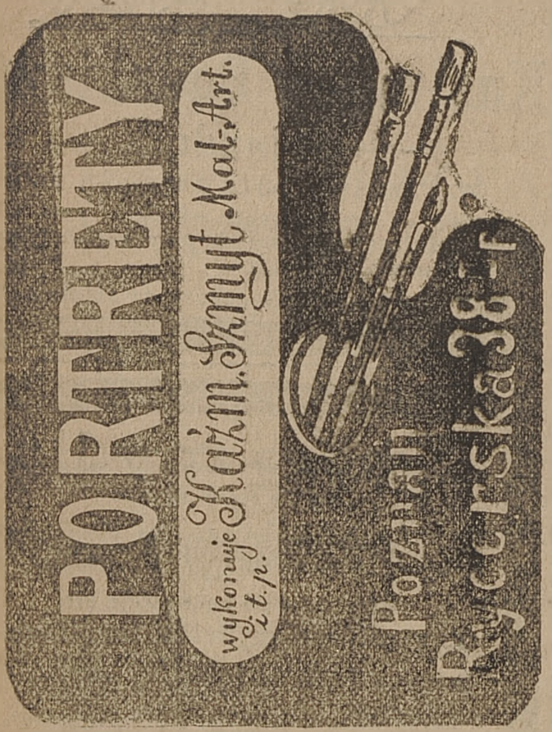
Gotowe prześcieradła. prawdziwe jelonkowe i reniferowe.

Dla Wielebnego Duchowieństwa

Birety, Obojczyki, Kołnierzyki

w nowych, obecnie wymaganych fasonach

Leo, Stablewski. (249)



Wydawnictwo

Artystyczn. kart pocztowych

Antoniego Rose

Poznań — Bazar

poleca 315

wielki wybór kart

na święta Wielkanocne

oraz innne własne i obce zagraniczne nakłady.

Niesłychanie tanie a jednak prawdziwe!

ALBUM

Sławnych mężów polskich

w wielkim formacie zawiera 72 portretów najznakomitszych naszych poetów, historyków, powieściopisarzy, artystów, malarzy, rzeźbiarzy, ojców kościoła katol. i t. d. najstaranniej i trafnie wykonanych w bogatej oprawie z wyciskami złoconemi na okładce i kosztuje tylko 1 markę, z przesyłką 1,30 m., przez zaliczkę 1,55 m.

Quo vadis

powieść H. Sienkiewicza

wyszła obecnie w taniem bajecznie niezmienionem wydaniu w jednym dużym tomie — kosztuje tylko 2 marki fr. z przesyłką, przez zaliczkę 2,25 m.

(Pierwsze wydanie kosztowało 15 marek, drugie i następne 7,50 m., obecne zaś wydanie tanie fr. z przesyłką tylko 2 marki). — Teraz może każdy powieść tę nabyć — poleca księgarnia

N. Kamieńskiego i Sp. w Poznaniu, ul. św Marcina nr. 16/17.

Tanio do nabycia:

2 *Młockarnie* 13 i 20 cm. szerokie, jedna kolcowa, druga cepowa.

2 *parowniki* do przewracania

2 *Tryery* z cylindrami niżej ceny fabrycznej.

Zgłosz. do **J. Popławskiego**, św. Marcin 64. Skład maszyn do szycia i welocypedów. 613

Rzadka okazya!

350 sztuk za 3 mrk.

Piękny zegarek pozłacany wraz z pięk. łańcusz. z 3 letn. gwarancyą, piek. cygarówka z burszt., pięk. pierścionek z imit. kamieniem, 6 chusteczek, garnitur guzików double do mankiet i koszuli, z zamkiem patent., pachnące mydło toal., scyzoryk, portmonetka skórz., lusterko toal. z etui, przyb. do pisania nikl., para butonów dla dam z imit. bryl., bardzo łudzące. 20 szt. przedm. do koresp., oraz 5 szt. wyroczn. wróżb. egip. i jeszcze 310 szt. różn. przedm. niezbęd. w domu. Wszystko razem z zegarkiem, który sam już wart te pieniądze. kosztuje **3 marki.**

Wysyłka za zaliczkę przez dom wysyłkowy 243

Ch. Jungwirth

Kraków 9.

NB. Za niepodobające się pieniądze z powrotem.

Biegła, z wyższym gustem w **krawieczyźnie** samodzielnie pracująca

panienka

z dobrej familii, szuka na krótszy lub dłuższy czas zatrudnienia u osób inteligentniejszych. Łaskawe oferty przyjmuje ekspedycya „Pracy“ pod lit. J. R. 99. 312

Kamienica

w pobliżu Placu Wilhelmowskiego w Poznaniu położona, rentująca się znakomicie. — **jest jedynie z powodu śmierci właściciela pod korzystnemi warunkami do sprzedania.**

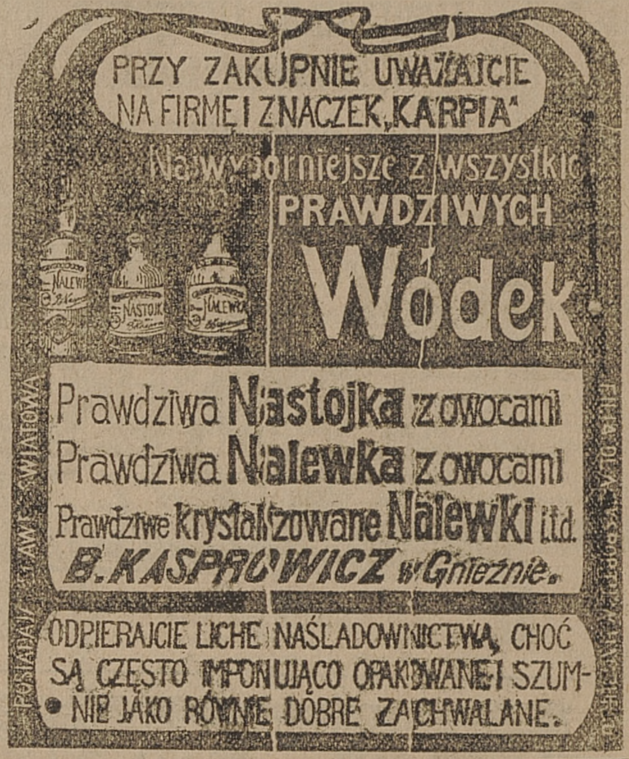
Cena ostateczna 175,000 m. przy zaliczce 35,000 m.

Bliższych danych udzieli

Drwęski-Langner,

Dom Bankowo-komisowy

w Poznaniu, Rycerska 38.



Postne artykuły

jako to:

marynaty, wędliny, suszone owoce, ryby morskie, najlepszą prowanską oliwę, sery najrozmaitszego gatunku

poleca po jak najtańszych cenach

S. Bredowski, 169

handel delikatesów i korzeni, św. Marcin 50.

Pewna egzystencya dla Rodaka!

Interes wiktualny

połączony z obszerną sprzedażą mleka i wszelkich nabiałów, z maglą angielską, ewentualnie także z dobrze zaprowadzoną prasowalnią, bardzo dobrze się procentujący, jest z powodu nagłej zmiany stosunków właściciela od zaraz przy przystępnych warunkach do sprzedania.

Poznań, ul. św. Wojciecha 22/24 w sklepie.

Poszukuje się pożyczki

60,000 mk.

na majątek ziemski, położony tuż przy cukrowni, na hipotekę absolutnie pewną. Informacyą służy

Drwęski-Langner,

Dom Bankowo-komisowy

w Poznaniu, Rycerska 38



Sprzedającym z drugiej ręki znaczny rabat.

Spółka Szewska

Zamkowa ulica 5.

Obuwie własnego wyrobu

po cenach niskich i rzetelnych. **Wielki wybór.** 692

Zamiejscowe zamówienia za przesłaniem miary lub starego obuwia.

Zakład aparatów kościelnych

p. w. S. Wojciecha,

poleca jak najuprzejmiej bogaty wybór gotowych:

Ornatów, kap, baldachimów, welum, stuł etc.

od najtańszych do najwspanialszych, ręcznie haftowanych.

Bieliznę kościelną. Materye na chorągwie, materye kościelne brokaty czysto złote i ciężkie jedwabne. **Birety, pasy, zakładki do mszałów** po cenach jak najniższych.

Równocześnie zwracamy uwagę na wielki wybór 152

Bielizny damskiej i mężkiej, stołowizny barchanów flaneli etc.

po cenach bardzo przystępnych.

Obstalunki wykonuje się szybko. Wykonanie staranne.

Zofia Cwojdzińska & Pelagia Majewska, św. Marcin 56.

Pługi parowe

budujemy w najdoskonalszych konstrukcyach poczęwszy od

28,000 marek.

Lokomotywy drożne i parowe walce do żwirówek

budujemy również jako specyalności we wszystkich praktycznych wielkościach i po najprzystępniejszych cenach.

316 **John Fowler & Co., Magdeburg.**



Jak pisać listy?

czyli

nowy sekretarz polski.

Jest to książka dla każdego przydatna, zawiera bowiem naukę, jak pisać listy, jak tytułować osoby różnych stanów, — dalej zawiera wzory na listy z prośbami, z zaproszeniem, z powinszowaniem, z doniesieniem, listy miłosne, pocieszające, przyjacielskie, między rodziną, złote myśli do wpisywania w pamiętnik, wspomnienie pośmiertne czyli nekrologi, ogłoszenia weselne i żałobne, — dalej korespondencye handlowe, wzory na kwity, rewersy, świadectwa, kontrakty, cesye, weksle itp. z dodatkiem:

Listów najznakomitszych pisarzów,

między tymi listy Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Słowkiewicza.

Cena za egz. br. 1 m. 60 f. (2 kor.) egz. opr. 2 m. (2 kor. 50 h.) Na opłatę poczty 20 fen. do Ameryki 60 fen.

Karol Kozłowski, wydawca, Poznań, Długa ul. 8. 7

Dzisiaj się panna medycyny uczy, sądzimy, z tej przyczyny:
Gdy męża kuchnią własną struje, to go wnet proszkiem wykuruje.

Księgarnia **A. Prądzyńskiego we Wrześni**

poleca **książki szkolne, zeszyty, wszelkie inne przybory szkolne, obrazy — ogromny wybór kart z widokami** — zawsze nowości.

Przyjmuję prenumeratę na wszelkie czasopisma polskie i niemieckie.

Wypożyczalnia książek. 295

Agentura i skład główny na Wrześnię „Pracy“, „Czytelni Polskiej“, „Górnoślązaka“ i „Komara“ („Bociana“).

!! Brzytwy !!

prawdziwe angielskie szwedzkie i solingskie pod gwarancyą.

Nr. 17 po 1,75 mrk.
„ 27 „ 2,50 „
„ 39 „ 3,00 „
„ 66 „ 3,50 „
„ 76 „ 4,00 „

prócz tego po 5,00, 6,00 i 10,00 mk. *Paski* do ostrzenia brzytew po 0,90, 1,25, 2,00 i 3,50 mk., *pędzelki* do golenia, *miseczki, mydło.*

Noże stołowe i widelce, noże kucharskie, do chleba i mięsa, ogrodowskie itd. 287

Nożyki kieszonkowe od 0,50 — 15 mk.

Nożyczki wszelkiego rodzaju w wielkim wyborze. *Nożyce* ogrodowskie, do trawy, do strzyżenia koni, bydła i owiec oraz wszelkie inne *towary stalowe* poleca po *cenach prawdziwie nizkich*

ED. KARGE, ślufiernia.

Poznań — Posen, Bazar.

Wysyłki uskut. się odwrotnie. — Zamówienia po nad 10 m. fr.

Baczność!

Drogerya J. Neyman

dawniej

Drogerya pod czerwonym krzyżem

poleca po najtańszych cenach:

Farby olejne i lakierowe na posadzki, wiory stalowe, pędle, froter i t. p. Swiece stearynowe i woskowe. Mydła i proszki do prania. Perfumy, pudry i mydełka toaletowe, tutejsze i zagraniczne wyroby.

Herbatę, wyskoki mięsne, czekoladę i kakao oraz towary w zakres drogeryjny wchodzące.

Paczki pocztowe wynoszące 10 m. wysyłam franko

Za gotówkę 6 proc. rabatu w towarze

Kurs literatury

i gramatyki polskiej dla panien.

Bliższych wiadomości udzieli pan 58

St. Tomaszewski,

Bydgoszcz, ulica Fryderykowska nr 46.

Nieodzowna dla każdego patentowana

TUCKER'A 282

kasa do pieniędzy alarmująca

Zamykana na *32* różne sposoby, zapobiega kradzieżom handlowym; w Ameryce przeszło milion w użyciu. Cena 20 mk. (24 kor.) przesyłka 25 do 50 fen. Dostawa tylko za gotówkę. Zamówienia przyjmuje

A. Cybulski, księgarnia, Poznań.

Wyłączny zastępca.

Gabinet dentystyczny

J. Gulińskiej

Poznań, ul. Berlińska 19

(nad Schneidrem). 25

Plomby, zęby sztuczne i t. d.

Robota pierwszorzędna pod gwarancyą. Ceny umiark.

Sztuka z wielką wystawą.

(W teatrzyku na prowincyi w czasie próby).

— Panie dyrektorze! panie dyrektorze!

— A co tam znów takiego?

— Potrzebujemy do sztuki szarego cylindra.

Dyrektor wpada wściekłość.

— Niech to djabli porwą te sztuki z wielką wystawą!...

Zdolny administrator

czasopisma

dotąd jeszcze w miejscu, w średnim wieku, zdrów, silny, poszukuje od zaraz lub 1 maja stósownej posady w jakiejbądź instytucyi prywatnej, najmilej w banku lub kantorze, także w jakiejbądź fabryce lub w większem przedsiębiorstwie przemysłowem. Kaucyą w każdej żądanej wysokości złożyć może natychmiast. Najlepsze świadectwa i referencye.

Łaskawe oferty przyjmuje ekspedycya „Pracy“ pod lit. **W. nr. 54.**

Werkmistrz

KOTLARSKI,

Polak, energiczny, który pracował przez lat 12 w znacznych firmach niemieckich jest obeznany z wszystkiemi **gatunkami kotłów**, w obecnem miejscu 3 lata i **ma chlubne świadectwa**, poszukuje z powodu obecnego prądu antipolskiego, miejsca **w Galicyi lub w Królestwie Polskiem.** 284

Łask. zgłoszenia przyjmuje ekspedycya „Pracy“ pod lit. W 284

Uprzedzający.

— Moja droga, cóż to znaczy? W cztery tygodnie po ślubie jesteś tak przygnębiona!

— Wyobraź sobie, jaki mój mąż nieznośny! Tłómaczę mu wczoraj, że mi potrzeba nowego kapelusza; miało mi się właśnie zrobić słabo, kiedy on pierwszy zemdlał i musiałam go cucić!

Polki

władające doskonale językiem niemieckim są poszukiwane na posady 135

bon

i wychowawczyń

Pensya 260—310 Marek. Zgłosić się:

Karpińska Szpitalna 3. **Warszawa.**

Udzielam

lekcyi muzyki

na fortepianie

po cenach przystępnych.

Łaskawe zgłoszenia przyjmuję przy ulicy **Bramkowej nr. 9 parter.**

St. Kamieńska.

HUMORYSTYKA.

Rzecz dzieje się w składzie szaf ogniotrwałych, nazajutrz po pożarze, który dotknął nieszczęsnego Iksa.

Pogorzelec wpada do składu, pełen oburzenia, i głośno manifestuje swoje niezadowolenie:

— Moi panowie! Co to znaczy! Czego wy ludzi oszukujecie i wprowadzacie w błąd kłamliwemi ogłoszeniami?

— Jakto?

— A tak! Wczoraj wybuchł u mnie w kanterze pożar, a gdy po ugaszeniu ognia otworzyłem szafę ogniotrwałą, kupioną u panów za drogie pieniądze trzy miesiące temu ze wszelkiemi gwarancyami, to okazało się, że wszystkie papiery w szafie były spalone. Cóż to za szafa ogniotrwała?

— Za pozwoleniem. Co się panu spaliło: szafa, czy papiery?

— Papiery.

A szafa nie spaliła się?

— Nie.

— Więc czego pan chce? Daliśmy panu gwarancyę, że szafa jest ogniotrwała, ale zkądże możemy wiedzieć, czy pańskie papiery będą ogniotrwałe? Prosimy zachowywać się przyzwoiciej i nie stawiać nam gołosłownych, a nieusprawiedliwionych zarzutów!...

W piwiarni.

Student. Siedem razy wołałem już: „Płacić!" a nikt się nie zjawia.

Kelner. Myślałem, że pan żartuje.

* * *

Z opowiadań myśliwego.

...... Co to, panie.... raz jadę sobie, sanna pyszna, konie wspaniałe — rozkosz? Aż tu oglądam się, cztery wilki za mną, tuż, tuż! — Szczepan! pędź! wołam. Odsadziliśmy parę staj — gdzie tam doganiają. — Obejrzał się i Szczepan, mruknął, panie, pod nosem, jak nie osadzi na miejscu bułanych — łup, łup! wilki powstrzymać się nie mogły, walnęły łbami o sanki — trzech padło na miejscu, czwarty ze strachu wziął ogon pod siebie i czmychnął... w żyto.

* * *

Nikt nie winien.

— Mordko, złoty pachciarzu!... nie mam pieniędzy!

— To co ja temu jestem winien?

— Szukałem pieniędzy w całem miasteczku, nikt nie ma!

— To co pan dziedzic temu winien?

— Ależ, bój się Boga!... Za kilka dni ostatni termin płacenia podatków?...

— To cośmy obaj temu winni?...

* * *

Po świętach.

— Wiesz, moja żona to doskonała gospodyni! Powiadam ci, wspaniałe ciasto upiekła.

— Taka sama gospodyni, jak ty myśliwy.

— Ty polujesz na zające na Sapieżyńskim placu, a ona robi ciasto własnego wypieku... w cukierni.

* * *

Podobieństwo.

— Wiesz pan, przypominasz mi pan wielce jednego znajomego.

— Z czego?... Można wiedzieć?

— Tak samo, jak pan, winien mi od dwóch lat 200 marek i wcale nie myśli o oddaniu...

* * *

Z księgi prawd.

Być wciąż wspaniałomyślnym, płakać nad niedolą.

Mózg swój poić wrażeniem w uczucia zwodniczem.

Goić rany serdeczne bliźniemu, gdy bolą.

Znaczy to — między ludźmi zostać wiecznie niczem.

* * *

— Jakiemi literami dać napis na pomniku?

— Ile można większemi. Nieboszczyk mój mąż był krótkowidz.

— Panie Izydorze, czy pan gra na fortepianie?

— Nie wiem, proszę pani. Nigdy jeszcze nie próbowałem.

Jeszcze wciąż można odnowić przedpłatę na poczcie!

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemuz zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das II Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 1,25 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1,25 M. erhalten zu haben bescheinigt

.........., den..........

Kaiserl. Post..........

Prosimy zażądać numerów okazowych i podawać je znajomym z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das II Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abtheilung II t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 1,25 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1,25 M. erhalten zu haben, bescheinigt

.........., den ....

Kaiserl. Post..........

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das II. Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Czytelnia Polska“

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 13 der Zeitungspreisliste)

für 60 Pfg.

(imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 60 Pfg. erhalten zu haben bescheinigt

.........., den..........

Kaiserl. Post..........

Prosimy odciąć!